2-32

III, I, 19

KLEWE.

Z PAMIĘTNIKA PCHŁY

I INNE UCIESZNE HISTORYE.

NAKŁAD DRUGI.

W BRODACH □ NAKŁADEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA □ 1909.
Warszawa ○ E. Wende i Spółka (A. Turkuł i T. Hiż.)

Zygmunt Jeleń
Księgarnia i Drukarnia
w TARNOWIE.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095896379

Okładkę i winiety w tekście wykonał
Kazimierz Sichulski.

Z PAMIĘTNIKA PCHŁY.

Z pamiętnika pchły.

(Na podstawie mozolnie zebranych materyałów).

I

Jestem sobie wesołem stworzeniem, czego dowodem jest mój skoczny tryb życia. Urodziłam się przypadkowo w stajni i wychowałam się na krwi stangreta, który mię bardzo lubiał i szanował moją młodość Miałam u niego pożywienie proste, ale zdrowe.

Nęciły mię jednak lepsze smakołyki i skorzystałam z pierwszej sposobności, aby się przenieść na hrabinę, arystokratkę prawdziwie szlachetną i piękną. Była dobrą, ale mnie nienawidziła. Ile razy spróbowałam skosztować z jej niebieskiej krwi, zrywała się, robiła światło, szukała mnie w miękkiej, jedwabnej bieliźnie, przeklinała, a raz nawet tańczyła po całym buduarze. Naturalnie ja z nią. Wlazłam jej w sploty fryzury i siedziałam cicho. Ale hrabina zdjęła fryzurę i rzuciła nią o ziemię, narażając mię na wielkie wstrząśnienie, poczem wróciła do swego łóżka. Trzeba chyba nie być pchłą, aby mając tak blizko piękną, zażywną damę, wytrzymać długo bez niej. W kilku śmiałych skokach byłam znowu na pięknej i białej szyjce hrabiny. Już spała.

Aby jej nie obudzić, usiadłam na bajecznej koronce koszuli lekko falującej w miarę jej oddechu i huśtałam się tak rozkosznie, że każdy mężczyzna

na mojem miejscu skonałby z zachwytu. I nie mogłam się wstrzymać...

Ugryzłam ją, a jej krew podziałała na mnie, jak szampan odurzająco... Hrabina zerwała się, jakby w nią uderzył piorun. Zadzwoniła na służbę, kazała zbudzić hrabiego i zaczęły się nadzwyczajne poszukiwania. Najwięcej szukała mnie pokojówka, na której właśnie siedziałam.

Po długich szukaniach nie znaleziono mnie, a ja nie chcąc narażać życia, zostałam już przy pokojówce. Znowu prosta krew, choć zdrowa na żołądek.

Nie będę opisywać w jaki sposób dostałam się stąd na młodego hrabiego, synalka pięknej hrabiny. Ten był taki sam niecierpliwy, jak jego matka, ale głupszy. Strzelał do mnie jakimś proszkiem, ale nie trafił. Nieraz mówił do mnie długo, groził, pluł — słowem osioł. Krew nawet niezła, ale jakaś strasznie głupia. Z niego będzie kiedyś tęgi dyplomata. Nie myślałam tu długo pozostać i rzeczywiście po jednodniowym pobycie u dyplomaty udało mi się przedostać do niebardzo może młodej, ale bardzo przystojnej bony dla dzieci hrabiów. U tej ciągle mi prze zkadzano, więc przeniosłam się na starszego hrabiego. To był nieostrożny krok z mojej strony, ale przepadło.

Po pierwszej zaraz próbie przekonałam się, że to krew wprawdzie niebieska, ale jakaś dziwna w smaku. Uczułam mdłości i jakby zatrucia jakimś metalem, coś jakby rtęcią. Czekałam już spokojnie, szukając sposobności do ucieczki,

Rano przyszła młodziutka, bo ośmnastoletnia córeczka hrabiego, niezwykle piękna i urocza hrabianka, aby powiedzieć ojcu: dzień dobry. W kilku skokach byłam już u niej na pończoszce. Ach, co to za roz-

kosz, co za rozkosz siedzieć na takiej ażurowej pończoszce, w której tkwi taka bajeczna, młoda, pulchna nóżka! Powiadam wam zginąć można!... Tu postanowiłam pozostać na całe życie. Dlatego nie gryzłam jej czekając na taką sposobność, by się wstydziła na mnie polować. Nadarzyła się taka sposobność dopiero przy obiedzie. Pełno było gości, a ja wtedy zabrałam się na dobre do uroczej hrabianki. Ugryzłam ją!... Drgnęła... Byłam oszołomiona boskim napojem, a ona kręciła się na miejscu, bo właśnie nudził ją długiem opowiadaniem jakiś głupi baron. Poprostu tańczyła na krześle. Była strasznie zakłopotana. Zauważył to głupi baron i spytał:

— Czegoż e... e... pani tak się kręci... pewnie coś tam e... e... pani wlazło niepotrzebnie e... e... co?

Hrabianka zarumieniła się strasznie, co poznałam po tem, że i mnie zrobiło się gorąco. I nic nie odpowiedziała głupiemu baronowi, tylko wybiegła z jadalni do salonu, dokąd przyszedł za nią baron.

— Jesteś pan nieznośny — rzekła hrabianka — natrętny, jak pchła!

— O, pardon! — zawołał urażony baron cofając się z salonu, ale najwięcej obrażoną byłam ja za takie śmiałe porównanie mnie z jakimś tam idyotycznym baronem..

II.

U hrabianki było mi, jak w raju. Ze wszystkich gatunków krwi, jakie kiedykolwiek piłam, ten smakował mi najlepiej. Poprostu oblizywałam się.. Co panna, to panna... A do tego jeszcze taka arystokratka. Nigdy nie zapomnę tych czasów. Wiedziałam, kiedy wolno, a kiedy nie wolno. Z panną wszystko można

robić, tylko trzeba wiedzieć kiedy. Gdy czytała romans lub wiersze, mogłam ją gryźć, ile chciałam. Czasem poskrobała się i tyle. Ale czytania nie przerywała. Ile razy całował ją wojskowy kuzynek, elegancki porucznik, nie czuła nic. Mogłam ją połknąć. Tylko wtedy miała krew tak gorącą, żem sobie kilka razy poparzyła język. Na tym wyśmienitym wikcie byłabym została niewiedzieć jak długo, gdyby nie przypadek.

Siedziałam właśnie na prawem kolanie uroczej hrabianki i myślałam. Nie wiem jak długo siedziałam zamyślona, ale ocknąwszy się znalazłam się w rękawie młodego porucznika, kuzyna hrabianki. Na nieszczęście porucznik oddalił się natychmiast i nie zostawało mi nic innego, jak przez rękaw wleźć do bielizny porucznika.

Tu zeszłam się z licznem towarzystwem moich siostrzyc. Było nas teraz razem bardzo wiele, całe kasyno. Ażeby sobie nie robić konkurencyi podzieliłyśmy się się panem porucznikiem między sobą i każda polazła w inną stronę. Pędził nas porucznik z jednego miejsca na drugie, ale to mu się na nic nie przydało. Przeklinał, komenderował, szturkał — ale pchła nie jest rekrutem, żeby go słuchać musiała. Był wściekły. Nareszcie wpakował dłoń w koszulę i złapał — mnie. Ujął mię w dwa palce, wyciągnął z zanadrza i tryumfował. Palce śmierdziały tytoniem, a tak je ściskał, że omal się nie udusiłam.

— *Wart Bagage!* — zawołał do mnie z tryumfem pan porucznik, patrząc mi prosto w oczy — dam ja ci szkołę!

Nie wiedział, co ze mną zrobić i szukał po pokoju morderczego narzędzia.

Chwycił nawet rewolwer.

Skurczyłam się, jak mogłam i choć byłam śmiertelnie przerażona, nie straciłam przytomności. My pchły nie tracimy głowy, gdy jesteśmy w opresyi. Na szczęście weszła w tej chwili do pokoju porucznika jakaś mocno wyperfumowana dama, a porucznik mocno zakłopotany, wypuścił mię z palców na ziemię. Dama nadepnęła na mnie, ale mnie nie zmiażdżyła, bo była lekką. Hop! — i w jednej chwili byłam na halce nowej damy. Wlazłam w fałdy halki, aby ochłonąć z przerażenia.

Zdrzemnęłam się tu na chwilę, ale zaspałam, a gdym się obudziła, byłam już z moją nową krwiodawczynią na ulicy. Po drodze mogłam parę razy ugryźć moją nową damę, bo wiedziałam, że na ulicy nie zechce na mnie polować. Przyśpieszzła kroku i wreszcie weszła do sieni jakiejś kamienicy tylko na to, ażeby się poskrobać. Strach, jakie te kobiety są próżne! I na co jej się to przydało? Ja robiłam dalej swoje, a ona musiała wstępować po drodze do każdej kamienicy.

Gdy znalazła się u siebie w domu rozebrała się do naga. Ładnie zbudowana kobieta. Ale mnie nie złapała, bo jej siedziałam na plecach.

III.

U pięknej pani byłam prawie dwa tygodnie i czułam się bardzo dobrze, bo nie brakło nam urozmaicenia, tylu miała gości, przyjaciół, krewnych, znajomych i pobożnych ludzi. Szczególnie wikt miałam dobry, bo moja pani była dobrze zakonserwowaną niewiastą. Ale raz wpadła w taką wściekłość, że postanowiła mię zgładzić. Dlatego skorzystałam ze sposobności i uciekłam. Dostałam się — ponieważ nie

miałam pod ręką nic lepszego — na jakąś grubą masażystkę. Co za paskudna krew. Gęsty i słony barszcz. Byłam szczęśliwa, gdym sie tego samego dnia przedostała do jakiegoś profesora. Niech będzie profesor— pomyślałam sobie — byle nie stara masażystka.

Mój nowy pan to był okropnie pocieszny i roztargniony człowiek. Gdym go pierwszy raz ukąsiła, aby skosztować, czy warto będzie zatrzymać się tu dłużej, zaczął do mnie rozmawiać jakimś uczonym językiem, którego nie rozumiałam.

W życiu nie naśmiałam się tyle, ile u tego profesora. Raz złapał mnie w nocy, więc postawił mnie na szafce nocnej i myślał, że będę czekać, aż on światło zrobi. Ma się rozumieć, że skoczyłam do łóżka i czekałam na profesora, który tymczasem ze świecą i jakimś mikroskopem szukał mnie po całym pokoju, wreszcie zalazł do swojej biblioteki, zaczytał się w książkach i nie wracał. Tańczyłam tymczasem po całem łóżku i myślałam nad tem, co ze sobą począć. O jakiemś przeniesieniu się z profesora na inną osobę nie było wprost mowy, bo profesor nigdy nie stykał się z nikim. Musiałam więc przedsięwziąć podróż piechotą, bo krew profesorska przejadła mi się ze wszystkiem.

O chłodzie i głodzie wędrowałam piechotą, a po długiej wędrówce dostałam się do ciekawego pana. Był jeszcze nie starym i miał niezłą krew, tylko nie zawsze o równej temperaturze. Wystawał nieraz godzinami przed lustrem i mówił tam do siebie, śmiał się, robił groźne miny i płakał. Myślałam z początku, że to waryat, potem przekonałam się, że to poseł do Rady państwa. Mogłam go gryźć do woli — nic nie czuł. Ale długo nie mogłam na nim pozostać, bo prawie co kilka godzin psułam sobie żołądek. Raz

bowiem miał krew gorącą, raz zimną, raz niebieską, raz czerwoną, to znów wcale żadnej krwi nie miał, albo miał krew przeźroczystą, jak woda.

Na takie nagłe zmiany żołądek mój nie był przygotowany, to też znowu skorzystałam z pierwszej lepszej niestosownej sposobności, aby się przenieść na kasyerkę z kawiarni. Ciało miała zacne, ale krew przesiąkniętą alkoholami. Przez cały czas mojego pobytu u niej, miałam „rausza". Mówiła do mnie po niemiecku, a ja jej odpowiadałam po swojemu. Gdy siedziała za bufetem, można ją była gryźć bez końca. Suwała się na krzesełku, ale musiała się uśmiechać do gości, bo ciągle ktoś stał przy niej i rozmawiał, prawiąc jej komplementy. Tu więc wstydziła się na mnie polować, ale wieczorem przy stoliku w separatce polowała na mnie zapamiętale i bez wstydu — a nawet czasem goście pomagali jej mnie łapać. Ale tylko udawali, że szukają mnie. Nigdy mnie nie złapali. I było mi dobrze. Byłabym już chciała zostać u niej jak najdłużej. Tymczasem pewnego wieczora zauważyłam, że mój pokarm się zmienił. Stawał się coraz nieznośniejszym i psuł mi żołądek. Po kilku dniach i moja pani poszła z kawiarni. Udałyśmy się razem do jakiegoś przybytku, gdzie było wielu ludzi. Moja pani wyglądała coraz gorzej, a ja chciałabym przedostać się z niej na innego człowieka, ale nie miałam już sił. Nogi mi zdrętwiały, cała jestem chora, jakby zatruta. Dlatego oczekuję tu śmierci ze spokojem i spisuję moje pamiętniki dla potomności. Nie jem i nie mam apetytu, przeklinam ludzkie plemię, które nie jest godne, aby żywiło swoją krwią paskudną, taką porządną, jak ja, pchłę.

□ □ □

Goście z prowincyi.

I.

Pochodzę z prowincyi i od kilku lat mieszkam we Lwowie. Na prowincyi mam bardzo wielu krewnych. Ci krewni rozsypani są po różnych miastach i wsiach. Mam ich tylu, żem prawie nigdy nie próbował ich zliczyć. Samych ciotek mam czternaście, jeżeli w czasie pisania tego artykułu nie ożenił się znów jakiś wuj, a do każdej ciotki należy przynajmniej jeden wuj, lub stryj, i jak najwięcej kuzynów i kuzynek.

Ta wielka liczba moich bliższych i dalszych krewnych przesuwa się co roku przez mój dom. Każdy z nich ma we Lwowie jakiś sprawunek: zakupno sezonowych nowości, sprawy sądowe, lekarze i t. p. Zajeżdżają wszyscy do mnie i u mnie mieszkają, bo mnie lubią. Jeszcze jeden gość nie spakował się do wyjazdu, a już drugi przyjeżdża, aby zająć jego miejsce. Nie wiem, czy moi krewni utrzymują między sobą dziennik, czy rozkład jazdy — ale dość, że jakoś doskonale im się to składa. Przez cały boży rok z regularnością kolejowego rozkładu pociągów gościmy u siebie jednego gościa po drugim. Czasem zdarza się, że jest u nas kilku równocześnie i duszą się, jak śledzie. Ale im to nie przeszkadza. Jeden czeka na wyjazd drugiego. Nie trudno sobie wyobrazić, co się

dzieje w moim domu. Ja naprzykł d przez cały rok nie mogę się dostać do mojego łóżka, które jest zawsze zajęte. Muszę więc spać na krótkiej sofce albo na podłodze w saloniku. Gdy przyjeżdża jakaś ciotka, lub kuzynka, zajmuje moje łóżko i ja śpię na podłodze; gdy przyjeżdża jakiś wuj, kuzyn, lub inny męski krewny, to żona śpi na podłodze. Zawsze jedno z nas śpi na podłodze, a czasem nawet tak bywa, że oba łóżka są zajęte i wtedy oboje musimy spać na podłodze. Nasi krewni widzą to i cieszy ich ta nasza gościnność. Do hotelu nie chcą zajeżdżać, aby nas nie obrazić śmiertelnie. Ciotka Eulalja, która z przerażającą punktualnością przyjeżdża dwa razy w miesiącu do lekarza, mawia zawsze:

„Mówił mi mąż, abym zajechała do hotelu i wam nie przeszkadzała, ale ja was, moi kochani, znam zbyt dobrze i powiadam na to do niego: człowiecze czyś ty się zastanowił nad tem, co mówisz, przecież nie można obrażać tych poczciwców, oni by mi tego nigdy nie wybaczyli, no proszę was, czy nie tak?“

Ale te wszystkie ciotki i kuzynki nietylko lubią nas i nietylko zachwycają się naszą kuchnią. One wierzą w nasz wielkomiejski smak. Żona moja jest ciceronem i ma obowiązek oprowadzać ich całymi dniami po magazynach lwowskich. Musi zostawić dom, gospodarstwo, męża i dziecko i iść gustować. Czasem tak bywa, że dzielimy się robotą: żona prowadzi jednego gościa w jedną stronę miasta, a ja prowadzę drugiego gościa w drugą stronę. Te piękne z prowincyi lubią kupować tanio a dobrze. Zanim kupią jeden kapelusz, obchodzą wszystkie salony modniarskie, a potem dopiero oryentują się, gdzie co widziały i obchodzą jeszcze raz wszystkie salony. Wreszcie kupują jeden kapelusz, który im się teraz najmniej

podoba, ale niech już będzie. Trzeba ją więc prowadzić, czasem nawet nosić za nią pudełka i pakunki, pożyczać jej pieniędzy, których ma zawsze mniej, niż potrzebuje, poświęcać jej całe dni, a wieczorami, przy omawianiu zakupów perswadować jej, że nie kupiła tak źle, jak jej się wydaje, że zakupione przedmioty nie wyjdą rychło z mody i że w domu będą się podobały, co do czego ona ma zawsze bardzo poważne wątpliwości.

Bardzo często nadchodzą do nas z prowincyi rozmaite pudła i pudełka z prośbą, aby żona łaskawie pofatygowała się jeszcze raz do tej modniarki i zamieniła kapelusz na tamten, zielonawy z czerwonem piórkiem, „bo aptekarzowa mówi, że w tamtym byłoby mi lepiej do twarzy“.

Najgorsze są te, które się leczą. One potrzebują troskliwej opieki domowej i chodzą do lekarza codziennie. Trzeba ją odprowadzić i tam na nią zaczekać, bo sama nie trafi do domu. Inne znów przyjeżdżają poważnie chore i do tych musi się sprowadzić lekarza jednego, lub kilku do domu. Nasze mieszkanie zmienia się wtedy w ambulatoryum kliniczne, my wszyscy w felczerów i siostrzyczki miłosierdzia, szafy i szafki w apteki, a wszystko razem w szpital w najszpitalniejszem tego słowa znaczeniu. Odkąd mieszkam we Lwowie, odbyły się w mojem mieszkaniu cztery lekkie operacye, trzy ciężkie, między niemi jedna operacya ślepej kiszki, jedno cięcie cesarskie i jedna amputacya nogi; dalej czterotygodniowe masowanie najkorpulentniejszej ciotki, jeden poród i dwa wypadki poronienia, z tych jeden ciężki. Taka mała stacya ratunkowa. W tym samym czasie trzy nasze służące umarły z wycieńczenia, a dwie poszły do szpitala waryatów.

Lecz nasi goście nie zadawalają się samą wizytą lwowską. Nie wiedzą o tem, że po ich wyjeździe ze Lwowa pracujemy już koło innych, i zasypują nas codziennie listami: „Proszę cię, droga kuzynko, bądź tak dobrą i skocz do tej krawcowej i powiedz jej, że po drodze namyśliłam się co do paska. Niech mi zrobi węższy, ale jedwabny i t. d.“ Albo: „Najdroższa Niusienko, nie gniewaj się, że cię trudzę, ale będąc w waszym miłym kąciku, zostawiłam przez zapomnienie nocną koszulę, więc bądź tak grzecznę i odeszlij mi ją pocztą, bo nie wiem, czy tak prędko będę we Lwowie..“ Albo: „Dziesięć dni siedziałam we Lwowie, a o najważniejszem zapomniałam. Bądź więc tak dobrą (a znam twoje serduszko) i skocz do drogueryi Puderkiewicza i kup mi jakiś dobry puszek do pudru, szczoteczkę i proszek do zębów.“ Albo: „Idź moja droga prędko do krawcowej i powiedz jej, żeby w nią jasny piorun trzasnął, bo suknia jest stanowczo za wąska, jak to przewidywałam. A nie chciałam szyć u niej, tylko tobie, moja kochana zawdzięczam, żem tak wpadła. Więc napraw błąd, śpiesz się, może ona ją jeszcze rozpuści. Suknię wysyłam na twój adres.“ Albo: „Idź kochana natychmiast do profesora X. i spytaj go, co on przez to rozumiał, gdy na moje pytanie, czy wolno mi się sznurować, pokręcił nosem...“ i t. d.

Dziś podaję o koncesyę na hotel. Będę miał gości, ale przynajmniej nie będę miał sprawunków. Chciałem się już wyprowadzić ze Lwowa, ale cała rodzina sprzeciwiała się temu stanowczo.

II.

Ciotka jedzie.

Pomimo całej miłości i życzliwości, jaką żywimy dla naszej ciotki, nie zmartwiła nas wcale jej decyzya powrotu do domu.

— Jutro rano pożegnam was moi kochani i pierwszym pociągiem, o godzinie 8-ej rano wyjeżdżam ze Lwowa — powiedziała ciotka i zaczęła nas prosić, abyśmy jej dłużej nie zatrzymywali i nie gniewali się na nią, że tylko jeden tydzień u nas bawiła. Daliśmy się przebłagać i nie gniewaliśmy się wcale. Owszem, nawet pomagaliśmy ciotce z całych sił przy pakowaniu, aby czegoś nie zapomniała, co było bardzo możliwem wobec ogromnej ilości pakunków i pudełek różnej wielkości i wagi. Przez długi szereg godzin do późnej nocy pakowaliśmy ciotkę, związując po dwa lub trzy pakunki w jeden, aby było mniej, ale było coraz więcej, bo razem naliczyliśmy kilkanaście.

Najbardziej zaaferowana była sama ciotka, której się ciągle zdawało, że to jeszcze nie wszystko, bo nakupiła znacznie więcej, że jeszcze o czemś zapomniała, co mogło przecież być najważniejszem, że to wszystko nie pomieści się w jednej dorożce, że jej z tem wszystkiem nie wpuści konduktor do wagonu i tysiąc innych wątpliwości i żalów miała nasza biedna ciotka, najwięcej jednak obawiając się, ażeby broń Boże nie zaspała i nie spóźniła się do jedynego pociągu rannego.

W tym celu prosiła nas o nastawienie budzika na godzinę czwartą rano. Pociąg odchodzi wprawdzie dopiero o godzinie ósmej, ale ona woli wstać o kilka godzin wcześniej, aby z pewnością przybyć na czas do pociągu.

Moja żona nakręciła budzik, ciotka go skontrolowała, i poszliśmy wszyscy spać. W nocy słyszę jakieś kroki, deptanie po papierach, przewracanie krzeseł, strącanie pakunków. To była ciotka, która szła po ciemku ze swego pokoju do łóżka mojej żony, aby ją obudzić.

— Ty śpisz? pyta ciotka.

— Nie — mówi żona, zbudzona ze snu — co jest?

— Zdaje mi się, że wasz budzik jest zepsuty, bo jeszcze nie dzwoni, a to już pewnie dawno po czwartej.

— Zrobimy światło i zobaczymy — powiada żona.

Odkręciłem elektrykę i pokazało się, że dopiero pierwsza godzina. Ciotka wróciła uspokojona do swego łóżka żaląc się, że nie może zasnąć, a tylko trochę drzemie.

Taksamo zbudziła nas jeszcze trzy razy, ciągle podejrzywając, że budzik jest zepsuty, bo noc wydawała jej się bardzo długą Nareszcie usłyszeliśmy hałaśliwy dzwonek budzika, a ciotka zerwała się z łóżka i zaczęła się szybko zbierać. W godzinę później była już prawie zebraną i chodziła nerwowo po pokoju, nie dając nam spać.

— Ależ ciociu kochana — powiada moja żona — przecież jeszcze trzy godziny do pociągu, jeszcze czas spać pełne dwie godziny do siódmej, skoro pociąg odchodzi o ósmej...

— Masz racyę — mówi ciotka — ja sama o tem myślę, zwłaszcza, że przez całą noc prawie wcale nie spałam — jeszcze się położę na kwadransik bodaj bo jestem śpiąca, ale już się nie rozbieram...

I położyła się. Zasnąłem twardo po tylu przerwach, a gdym się obudził o godzinie dziewiątej, spytałem żony, która właśnie nadeszła z kuchni:

— A co ciotka? Czy bardzo się śpieszyła na odjezdnem?

— Cicho! — powiada żona — jeszcze dotąd śpi, kompletnie ubrana do podróży...

Pudła.

Mieliśmy gościa. Przyjechała do nas kuzynka z prowincyi na letnie zakupno. Miała kupić kapelusz, *prochownik*, parasol, parasolkę, obuwie i inne rzeczy z garderoby damskiej. Moja żona oprowadzała kuzynkę po wszystkich magazynach całymi dniami. Codziennie wracały obie bardzo późno na obiad i bardzo późno na kolacyę, obie były zmęczone i skwaszone, bo nasza kuzynka nic stosownego dla siebie dobrać nie mogła. Przez ośm dni całe nasze gospodarstwo domowe chromało, bo wszystko zdane było na sługę, która ciągle narzekała, że sobie sama nie da bez pani rady i na pierwszego musi wymówić służbę. Doszło do tego, że ja sam musiałem ścielić łóżka i przynajmniej powierzchownie zamiatać mieszkanie. Gdy bowiem żona wracała na obiad z kuzynką, nie miała czasu na robienie porządków, ale musiała robić wymówki służącej za to, że przepłaciła na rynku jarzynę, że schowała koszykowe za wielkie, że przepaliła pieczeń, że połowę „złasowała“ przed obiadem, że nie ma głowy na karku. A zaraz po obiedzie szła znowu do miasta z kuzynką.

Za to obeszły trzy razy wszystkie magazyny i wiedziały na pamięć, gdzie co jest, a gdzie niema. Ósmego dnia nasza kuzunka zdecydowała się kupić prochownik i kapelusz. Zapłaciła połowę, a drugą

połowę miała odesłać z domu. Ze sklepu przyniesiono pudło z płaszczem, z magazynu mód przyniesiono pudło z kapeluszem. Kuzynka była bardzo zadowoloną i zaczęła się pakować. W dwa dni później wyjechała, przyrzekłszy, że resztę pieniędzy przyszle jutro na nasz adres.

Nazajutrz, po jej wyjeździe, otrzymujemy list „express“ tej treści:

„Kochana! Moje przewidywania ziściły się. Prochownik jest skandalicznie brzydki i źle leży. Całe miasto jest tego zdania i w żaden sposób nie mogę go zatrzymać. Kapelusz jest jeszcze gorszy. I jedno i drugie odsyłam ci równocześnie. Zdaje mi się, żem sobie to wymówiła w sklepie i u modniarki. Nie gniewaj się, moja kochana. Bardzo cię proszę, byś natychmiast poszła do kupca i do tej modniarki i powiedziała im, że już pudła są u ciebie. Niech ci zwrócą pieniądze. Kupię już tu, bo tu są wcale ładne prochowniki i kapelusze, a w dodatku tańsze. Ściskam cię twoja kuzynka...“

Żona nie dokończyła obiadu i pobiegła do miasta. Po godzinie wróciła bardzo zirytowana.

— Pomyśl sobie — powiada do mnie — ani kupiec ani modniarka nie chcą przyjąć kupionych rzeczy i co ja mam robić? Żądają reszty pieniędzy!

Nie odpowiedziałem. Przed wieczorem przyszły z poczty pudła. Moja żona wpadła w pasyę. Przez sługę odesłała pudła. Jedno do kupca, drugie do modniarki.

— Gdyby nie chcieli przyjąć — mówi do służącej — to zostawisz im pudła i uciekniesz.

Służąca wróciła z miasta bardzo zadowolona, bo wprawdzie nie chcieli przyjąć, ale ona im pudła zostawiła i udało jej się uciec. Ale za kwadrans przy-

nieśli nam znowu pudła. Żona próbowała nie przyjąć, ale chłopak ze sklepu i dziewczyna od modystki zostawili pudła w przedpokoju i odeszli.

— Czyście sobie wymówiły — pytam żony — że mają odebrać, gdyby się towar nie podobał?

— Nie pamiętam.

— No, to rób, co chcesz, ja się nie wtrącam.

— Już wiem, co zrobię!

Żona wysłała depeszę do kuzynki: „Nie chcą przyjąć, zwracam ci pudła".

Po kilku godzinach przyszła depesza z odpowiedzią:

„Za nic w świecie. Nie przysyłaj, bo zwrócę".

I proszę mi teraz powiedzieć, co ja mam robić z pudłami, które są u mnie, z kupcami, którzy grożą mi skargą o resztę pieniędzy i z żoną, która się rozchorowała ze zmartwienia?

Człowiek na raty.

Pan Andrzej był człowiekiem na raty. Wychował się ratalnie u ojca urzędnika, który brał wszystko na raty, aby dać synowi odpowiednie wykształcenie w ratach. Wyniósł więc pan Andrzej z domu rodzicielskiego tę nauczkę, że życie jest ciężkie, ale można je sobie ułatwić, jeżeli się je rozdziela na różne raty. Nawet Pan Bóg stworzył świat w sześciu ratach, a nie na jeden raz. Wogóle na początku była rata.

Spłaciwszy dług szkolnictwu, czy oświacie i wojskowości w ratach stał się pan Andrzej samoistnym, wstąpił do urzędu i otrzymał dekret, ażeby sam mógł wszystko brać na raty. Z początku miał raty małe, potem ożenił się i miał raty coraz większe. Wziął bowiem żonę, która z domu urzędniczego pochodząc, pasyami lubiała brać wszystko na raty. Ona poprostu raty zbierała, jak ktoś zbiera widokówki i umiała co miesiąc stworzyć kilka nowych rodzajów rat. Płacił te raty on, a płacił punktualnie, jak długo pensya na to wystarczała. Na pierwszego zaczął pan Andrzej obiegać całe miasto z ratami i przez trzy, cztery dni biegał od sklepu do sklepu. A po obejściu wszystkich sklepów i zakładów, miał jeszcze w kieszeni kilkanaście guldenów na życie przez cały miesiąc z rodziną, więc robił dalsze raty. Wtedy płacił stare raty raz na kilka miesięcy, a nowe co miesiąc, aż się także

postarzały. Dlatego ciągle rachował i mawiał, że nic nie jest wiecznem na świecie, tylko rata.

Gdy miał wyprowadzić córkę na bal, musiał wstrzymać 8 rat starych i puścić w kurs pięć rat nowych, z tych jedną bankową.

Miał wydać za mąż córkę, lecz nie miał dla niej posagu. Od czegoż żona? Wyszukała akademika, dała mu przyzwoite utrzymanie i w ten sposób kupili sobie zięcia na raty.

Tak pan Andrzej przez całe życie brał wszystko na raty i płacił raty, a gdy już osiągnął wysokość 50 rodzajów rat, umarł nagle, jak żołnierz na posterunku, w chwili, kiedy wchodził do pewnego sklepu, ażeby zapłacić ratę. Osierocił żonę, córkę i kilka tysięcy rat.

Żona i córka zamówiły mu piękny pogrzeb, oczywiście na raty.

Moje mieszkanie.

Mam małe mieszkanie. Gdym je przed kilku miesiącami najmował, czytałem na bramie kartkę:

„Trzy pokoje, kuchnia, dwa przedpokoje, pokój kąpielowy, klozet angielski, balkon, strych, piwnica itp. na 2. piętrze do wynajęcia".

W sam raz dla mnie— powiedziałem sobie i obejrzałem mieszkanie. Na pierwszy rzut oka zauważyłem, że mieszkanie jest szczupłe, ale mi stróż wytłumaczył, że ciepłe i „pakowne", a tylko obcemu wydaje się szczupłem na oko.

Byłem już zmęczony długą wędrówką po mieście za mieszkaniem, więc dałem zadatek. W parę dni potem wprowadziłem się i mieszkam tu od kilku miesięcy.

Moja żona twierdzi, że jest to właściwie jeden pokój poprzegradzany ściankami na trzy pokoiki, przedpokój, kuchnię i t. d. jak na kartce na bramie. Ale że mieszkanie jest szczupłe, to przyznać musiał sam dozorca, który pomagał nam wciskać meble gwałtem. Te meble nie chciały się pomieścić w żaden sposób pomimo, że mieszkanie — zdaniem stróża — jest pakowne. W sypialni naprzykład było miejsce na wszystko, co do niej należy, tylko nie na łóżka. Co najwyżej mogło stanąć jedno łóżko i to jakoś wskośnie. Stróż twierdzi, że łóżka są za długie. Kombi-

nowaliśmy ośm dni, jak pomieścić w trzech pokojach meble z dwóch pokoi, wzywaliśmy do pomocy różnych znawców z familii i. szerokiego koła znajomych, takich nawet, którzy nałogowo zmieniają co parę miesięcy mieszkanie, stróż prorokował, że jakoś to pójdzie i w końcu musieliśmy większą część mebli umieścić na strychu,

Stróż twierdzi, że poprzedni lokator mieszkał tu wcale wygodnie, ale — co prawda — nie miał mebli Był bowiem wdowcem bezdzietnym, który miał połowę kawalerskiego urządzenia i przychodził do domu tylko na noc, bo twierdził, że mu tu w dzień za ciasno. Ale stróż mówi, że ten lokator był grymaśnikiem.

Ma nasze mieszkanie także i swoje dobre strony. Każdy pokój ma po dwa okna do frontu, tak, że cały front jest oszklony, niby weranda. Przedpokój jest mały, jakby zrobiony na jednego chudego człowieka, coś w rodzaju stojącej trumny i ma tę dobrą stronę, że nie można się w nim pośliznąć i upaść. Co najwyżej można przypaść do ściany. Natomiast nie można w nim wieszać zarzutki lub futra, bo uniemożliwia to przechód.

Pierwszy pokój jest moją pracownią i tu mieści się moje biurko, fotel i kosz na papiery. A więc jest pełno. W tym pokoju sypia czasem jakiś gość z prowincyi na zaimprowizowanem łóżku. Ale tylko gość średniej miary. Raz bowiem dostaliśmy gościa długiego, który w nocy musiał się skurczyć do połowy, a zapomniawszy we śnie, że śpi w modnem mieszkaniu lwowskiem, wyprostował nogi, wywalił niemi drzwi do jadalni i zbudziwszy się rano w pierwszym pokoju, przeraził się okropnie, gdy zauważył, że nie ma swoich nóg przy sobie. One bowiem były w drugim. Jeszcze

szczęście, że mu nogi nie odmarzły, bo drugi pokój nie był opalony. Ale to miało swój powód. Pokazało się, że nasz gość sięgnął kończynami nóg do trzeciego bocznego pokoju, gdzie było ciepło. Tak więc jeden długi gość spał równocześnie w trzech pokojach. Ale stróż twierdził, że ten gość za długi.

Z jadalni do sypialni idąc, musi się odsuwać stół stojący w jadalni. Ten stół suwamy kilkanaście razy dziennie i ma już trzy nogi nadwątlone. Czekamy tylko, aż mu „wypadnie“ czwarta, to mu damy „wstawić“ wszystkie cztery „sztuczne“. Ale stróż mówi, że stół jest za szeroki.

O sypialni wolę nie mówić, bo to mnie zbyt boli, abym mógł o niej pisać ze spokojem. W naszej sypialni nie widać kawałka podłogi, choćby wielkości pięciokoronówki. Dywany i chodniki leżą pod łóżkami. Do łóżka wchodzę nie z boku, ale przez przednią ścianę włazić muszę i wyłazić, przy czem odbywam podróż tak uciążliwą, jak turysta w Tatrach. Stróż twierdzi, że wszystko byłoby dobrze, ale wszystkie nasze meble są za długie i za szerokie

Za to mam modne ubikacye: pokój kąpielowy, który wprawdzie nie ma pieca, ale w którym wanna trochę stoi a trochę wisi w powietrzu, bo stróż mówi, że za długa. W tej wannie nie kąpiemy się, ale śpi w niej nasza służąca napół stojąco, bo w naszej kuchni, która ma dwa kroki wzdłuż i jeden krok wszerz, nie może stanąć łóżko sługi, nawet na ukos.

A dalej mamy angielski waterklozet, którego konstrukcya psuje się dwa razy dziennie i każe nam z desperacyą biegać do miasta. Stróż powiada, że używamy go za często. Ale i ten pawilonik jest zbyt ciasny, a gdy tam onegdaj wszedł nasz gość, człowiek nieco korpulentny, nie mógł stamtąd wydostać się

w żaden sposób. Aż dopiero musiał przyjść stróż i zdjąć drzwi z zawiasów. Nasz gość wyszedł stamtąd blady, jak trup, bo stracił już był nadzieję wydostania się na wolność. Opowiadał, że przechodził tam okropne chwile. Uszczęśliwiony dał stróżowi naprzód w twarz, potem guldena. Stróż mówił, że nasz gość jest hojny i porządny człowiek, ale trochę za gruby.

Tego pierwszego wymówiłem mieszkanie, a na bramie widnieje od kilku dni kartka:

„Trzy pokoje, dwa przedpokoje, balkon, pokój kąpielowy, klozet angielski, strych, piwnica itp. do wynajęcia. Wiadomość u dozorcy.“

Na przystanku.

Tramwaj elektryczny przepełniony staje na ulicy Zielonej. Jedna pani wysiada, druga wsiada i obie spotykają się na przednim pomoście.

— A, to kochana pani — mówi pierwsza — jakże się kochana pani miewa, cóż słychać nowego?

— Ot, jak zwykle — powiada druga — chociaż nie brak i nowin. Mianowicie moja Jadzia bardzo dobrze zaręcza się tymi dniami...

— Czy być może? Z kim?

— Proszę pani — wtrąca się motorowy — zdaje mi się, że pani chciała wysiadać, bo my jedziemy dalej...

— Ależ zaraz, przecież pan widzi, że wysiadam. Więc z kim się córeczka zaręcza, bo mnie już pali ciekawość...

Tymczasem konduktor daje znak do odjazdu a motorowy dzwoni.

— Zaraz, zaraz pani, już idę, ale przecież ta pani mówi mi coś, to muszę wysłuchać, tylko jedno słówko mój panie, więc z kim?

— Wie pani — mówi druga — zaręcza się Jadzia z tym Paćkowskim, który u nas od miesiąca bywa. To, proszę pani, człowiek na stanowisku, stateczny, z dobrej rodziny, a charakter, powiadam pani, złoty...

— No to szczęście, prawdziwe szczęście, powinszować. A ja przyznam się pani, że już się czegoś dawno domyślałam, tylko nie chciałam mówić...

— My jedziemy — powiada motorowy — bijąc w dzwonek — proszę nareszcie wysiadać.

— Ależ to z pana niecierpliwy człowiek, przecież pan widzi, że już idę. A niechże nas kochana pani łaskawie odwiedzi, do widzenia, muszę iść, bo się temu panu bardzo jakoś spieszy, więc czekamy z niecierpliwością, może jutro po południu...

— Jutro nie, kochana pani, bo mam pranie, a pani wie, że jak się ma trzysta kawałków do prania, to gospodyni musi w domu siedzieć... a prawda chciałam jeszcze spytać, co pani bierze do prania, bo chlorek podobno bardzo niszczy bieliznę..

— Niech Bóg broni, tylko bez chlorku. Najlepsza czysta woda a potem...

Motorowy znów dzwoni, wreszcie rusza.

— Zaraz, zaraz.. czy pan zwaryowałeś? Przecież widzi pan, że tu jeszcze ktoś wysiada... proszę zatrzymać wóz... także jakiś sposób.. Do widzenia... do widzenia.

Tramwaj staje; pani wysiada oburzona i woła już z ulicy do tamtej:

— Prawda, jeszcze coś miałam pani powiedzieć, no, ale to już jutro...

Życiorys, jakich wiele.

Pan Jan urodził się w czepku, Swoją drogą nawet nie potrzebował sam się urodzić, bo pomagało mu przy tem dwóch zdolnych ginekologów i bardzo zręczna madame.

Zanim miał czas rozejrzeć się, aby mieć co w usta włożyć, przyjęto mu zdrową karmicielkę, która kładła fundament pod jego przyszłą tężyznę. W drugim roku nauczono go chodzić, padać i podnosić się przy pomocy zdolnej niańki. W trzecim prowadzono lub wieziono go w wózku na spacer. W czwartym pozwalano mu tłuc naczynia kuchenne i cenniejsze rzeźby z salonu. W piątym dano mu nauczyciela, który miał go wtajemniczyć w początki oświaty, a w szóstym roku zapisano go do szkoły i powiedziano mu: „ucz się pilnie, a będziesz kiedyś miał złoty kołnierz“ — przyczem mu pokazano kołnierz na surducie ojca.

Mały Janek miał szczęście w szkole. Uczył się niewiele, umiał jeszcze mniej, ale przyjęto mu kore petytora, który wypracowywał dla Janka zadania piśmienne w domu i podpowiadał mu w szkole, ile razy profesor trudził Janka jakiemś zawiłem pytaniem. Dzięki takiej zapobiegliwości Janek przechodził z klasy do klasy, a jeśli sam nie przechodził, to go trącano, a gdy się nie dało trącać z powodu przyrodzonej

ciężkości Janka, to pchano siłą, aż przepchano go z normałki do gimnazyum.

Tu dodano mu dwóch korepetytorów do pomocy ze względu na bardzo uciążliwe początki łaciny. Jankowi szło ciężko, ale szło. Ojciec często interweniował, kilka razy zmieniano nauczycieli, bo nie chcieli się uczyć za Janka, a gdy raz Janek się potknął w którejś klasie i omal nie położył się na rok, bo go aż trzech profesorów „sekowało“, musiała cała familia pracować przy pomocy różnych wpływowych krewnych i znajomych, aby przebłagać gniew profesorów i wytłumaczyć im, że Janek jest niewinny a tylko ma tępą głowę odziedziczoną po przodkach, więc nie powinien być sądzony za cudze grzechy.

Ta mała tragedya powtarzała się w dalszych klasach przy końcu każdego roku szkolnego, ale dzięki wyrozumiałości niektórych profesorów dla dziedzicznie obciążonych uczniów, Janek uzyskał po ośmiu latach żmudnej pracy ojca, krewnych, kolegów i nauczycieli świadectwo dojrzałości.

Na radzie familijnej uchwalono Janka zapisać na wszechnicę, bez której niema mowy o karyerze. Janek bronił się, jak mógł, twierdząc, że nie jest do nauki, ale ojciec był przeciwnegu zdania. Mianowicie ojciec twierdził na podstawie doświadczenia, że przy każdym egzaminie prawniczym pada się tylko co najwyżej dwa razy, trzeci raz muszą puścić. Ojciec miał racyę. Janek w dziewięciu posiedzeniach wziął trzy egzaminy prawnicze. W międzyczasie wzięto go jako niedobrowolnego ochotnika jednorocznego do wojska, bo był chłopcem rumianym i tęgim, aż miło.

Wzięto go do lekkiej kawaleryi, która zaraz po jego wstąpieniu stała się o dziewięćdziesiąt kilogramów cięższą. Przy egzaminie oficerskim potknął się

o kilka trudniejszych przedmiotów, ale mu to bynajmniej nie było przeszkodą, aby w dwa lata później jako wysłużony wojak i ukończony prawnik wstąpić do urzędu. Bo ojciec twierdził że Janek będzie właśnie doskonałym urzędnikiem.

I znów nie omylił się ojciec.

W urzędzie szło mu lepiej, niż innym, bo był poniekąd myślącym urzędnikiem. Ojciec bowiem postarzał się i uczył Janka samodzielnie myśleć. I tak zaczął Janek myśleć według wskazówek ojca o awansie, o dobrej partyi, o tem, aby się szefowi podobać itp. Ale kiedy zauważył, że z tego myślenia zrobiły mu się nieładne zmarszczki na czole, a ojca już nie było, bo umarł, żal mu się zrobiło za ojcem i pomyślał, jak to nieraz dobrze, gdy za syna myśli ojciec i syn wcale myśleć nie potrzebuje.

Rozejrzał się więc za kimś, któryby za niego dalej myślał i oświadczył się bogatej kuzynce swego szefa. Wobec tego okazał się jeszcze zdolniejszym niż dotąd urzędnikiem i awansował.

Ożenił się, stracił zmarszczki i do tego czasu regularnie dostaje co parę lat jedną gwiazdkę i jedno dziecko, ale zmarszczki nie ma ani jednej, pomimo że onegdaj dostał już złoty kołnierz.

Jest bowiem wzorowym urzędnikiem, ojcem i mężem. Regularnie chodzi do biura, wraca na obiad i nakręca wszystkie zegary. Regularnie kładzie się spać, śni mu się, że jest przed awansem i regularnie wstaje, aby znów pojść do biura, Regularnie czyta mu żona gazetę, a mianowicie kronikę, mianowania i inseraty, regularnie nabawia się dwa razy w roku na wiosnę i jesień kataru, z którego go potem leczy żona przez miesiąc. Regularnie w każde uroczyste święto odwiedza teścia emeryta i wraca potem podochocony

do domu; regularnie na życzenie żony wybiera się raz na miesiąc do teatru na operę i regularnie zasypia na przedstawieniu.

Unika towarzystw, zgromadzeń, posiedzeń, kart i polityki, bo mu jeszcze na samym początku małżeństwa żona wytłumaczyła, że wszystko to głupstwo i do niczego, a grunt jest awans, żona, dzieci i regularność.

Więc zasypia uśmiechnięty ten urodzony w czepku człowiek, który przez całe życie nie potrzebował myśleć i nie próbował myśleć.

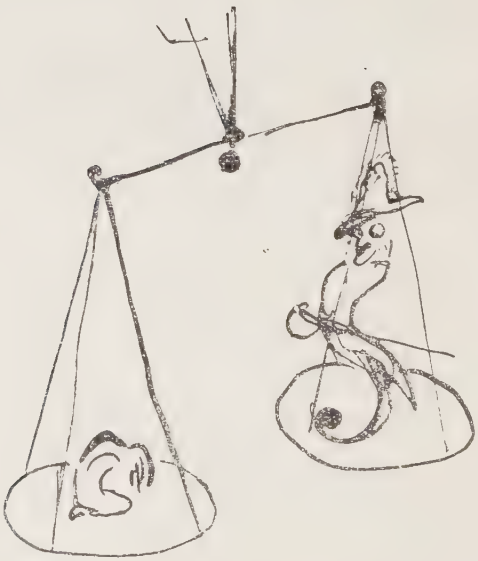

JÓZEK.

Józek rezydentem.

I.

Bawię obecnie za Lwowem. Wczoraj rano otrzymałem kartkę od dozorcy naszej kamienicy tej treści: „Jelmozne Pane! Proszy Zaraz przyjechadź, bo w meszkaniu panstwa dziejom sie straszne zeczy. Całuji ronczki *Filip Dozorca*“.

Bardzo mię ta kartka zdziwiła, bo wyjeżdżając ze Lwowa, zostawiłem klucz od naszego mieszkania memu kuzynowi Józkowi, prosząc go, by od czasu do czasu zaglądał do mieszkania, a raz na tydzień kazał dozorcy wszystko trzepać. Ale znam Józka i wiem, że jest do wszystkiego zdolny.

Zadepeszowałem więc do kuzyna, prosząc go, by mnie oczekiwał na dworcu z kluczem od mego mieszkania, a sam wybrałem się bezzwłocznie do Lwowa. Żona kazała mi „nagadać“ Józkowi już zaraz na dworcu i bardzo żałowała, że nie może sama pojechać, aby mu uszy nakręcić.

Przyjechałem do Lwowa, obszukałem cały dworzec — Józka nie było. Pomyślałem, że albo nie otrzymał mojej depeszy, albo się szelma kryje. Nie zostawało mi nic innego, jak jechać do miasta i szukać Józka.

Józka szuka się w kawiarniach, mianowicie we wszystkich, bo wszędzie bywa. Przez dwie godziny uganiałem się po naszych kawiarniach i wszędzie mówio-

no mi, że „pan doktor był przed chwilą, ale poszedł“. Pomyślałem, że może go znajdę w jego mieszkaniu, ale mi tam powiedział dozorca, że „pan doktor od tygodnia nie był w domu“. Idę więc do mego mieszkania, aby bodaj od Filipa dowiedzieć się, co się dzieje. Dozorca rozkrzyżował ręce:

— Panie — powiada — ja nic nie znam, naj pan idzie i sam się popatrzy. Przed chwilą młody pan doktor dał mi klucz od mieszkania, taj mówi, że jakby się pan pytali, gdzie on jest, aby powiedzieć, że on wczoraj umarł.

Odebrałem klucz i udałem się do mego mieszkania. Straszny widok przedstawił się moim oczom. Wszedłem do przedpokoju. Cały przedpokój zabarykadowany krzesłami i fotelami: kilkanaście krzeseł i foteli jedno na drugiem aż pod sam sufit. Co to miało za cel? Zacząłem ostrożnie rozbierać barykady i wystawiać krzesła na kurytarz, ażeby się módz przedostać do pierwszego pokoju, do naszej jadalni. Pracowałem kilkanaście minut, zanim udało mi się przejść do pierwszego pokoju. Ten pokój wyglądał jeszcze bardziej zagadkowo. Znikł gdzieś stół, który stał w środku, a pod ścianami były ustawione jakieś fotele i kanapki, niby w szkole tańców. Na posadzce porozrzucane rozmaite kawałki garderoby wszystkich trzech rodzajów, najwięcej damskiej. Również znikła gdzieś lampa, która przedtem wisiała nad stołem, a w jej miejscu wisiał gruby sznur konopiany, jakby z niego dopiero co odcięto wisielca. Wytrzeszczyłem na to wszystko oczy i nie rozumiałem, jaki był cel tego urządzenia. Ale idę dalej.

W następnym pokoju „miły nieład“. Na biurku założonem papierami i książkami pełna miednica, obok niej ręcznik, mydło, szczoteczka i opaska do wąsów,

szczoteczka do zębów i jakiś proszek. Na fortepianie pościel, niby na łóżku. Widocznie ktoś spał na fortepianie. Tak samo zaimprowizowane łóżka na otomance i pod trzema ścianami na podłodze. A więc pięć osób tu spać musiało. Pod fortepianem kilkadziesiąt próżnych butelek i kilka syfonów. Z pod wieka fortepianu wystaje rękaw koszuli nocnej.

Otwieram wieko i znajduję w pudle fortepianowem cały skład brudnej bielizny męskiej. U okien story zdarte, okna przesłonięte dywanami. Na podłodze kilka tysięcy niedopalonych papierosów, kilka skarpetek, brzytwa i pędzel do mydlenia. Na środku stoi wanna z wodą, po wodzie pływają skrypta prawnicze, nierozcięty tomik poezyi i jakieś świadectwa szkolne.

Chcę wejść do trzeciego pokoju, ale zamknięty. Pokój ten, stanowiący naszą sypialnię, ma osobne drzwi do kurytarza, ale i te drzwi są zamknięte. Wołam stróża.

— Co tu się działo? Czemu tu takie ładne porządki?

— Pane — powiada stróż — ja nic nie znam, ten młody pan doktor mówił, co on jest teraz rezydentem od tego meszkania i robił różne figle.

— Powiedzcie mi naprzód, ile osób tu spało?

— E, dużo, dużo. Przedwczoraj był nawet cały bal. Przyszło dużo panów i parę panienek gdzieś z Coloseum, czy z cyrku, taj posyłali mnie i żonę po piwo i po inne rzeczy do jedzenia taj picia i dwóch muzykantów było, a potem zaczęli tańcować i śpiewać, to aż mnie gospodarz posłał powiedzieć, żeby było cicho, bo wymówi mieszkanie. A oni na to w śmich, taj wiwat krzyczeli, taj tak do samego rania. Jedna panna kazała sobi zrobić taki huśtawki na su-

ficie, bo już takoj była pjana, to zdjęli lampę i zrobili huśtawkę, a ona pokazywała sztuki i rzucała flaszkami. Potem się rozeszli w piątej rano, a potem wrócili aż wieczór ale już sami panowie bez panienek i dzisiaj spało u nas dziesięć panów, po dwa na jednem miejscu — ja sam im pościelił...

— A czemu ostatni pokój zamknięty?

— E, bo pan doktor ten pokój wynajął jakiejś młodej parze i to nawet bardzo tanio. Wystawił kartkę i wynajął im ten pokój aż na cztyry misiące za 40 reńskich z mebłami, żeby tylko z góry zapłacili i oni mu zapłacili i tu już mieszkają.

— Zwaryował?! Przecież my wracamy za parę tygodni!

— A ja nie wim — Pan doktor mówił, że pan jego zrobił ryzydentem od tego mieszkania, to on ma prawo wynająć, nawet mówił, że go pan sam prosił, żeby wynajął, jak się ktoś trafi.

— Ależ to nasza sypialnia, gdzież my spać będziemy?

— Nic nie wiem.

Szczęście Józka, żem go wtedy nie miał pod ręką, bo byłbym go udusił.

— Mój Filipie — powiadam, przeproście pana gospodarza w mojem imieniu i powiedźcie mu, że to się już nie powtórzy. A wy wyszukajcie mi prędko tego pana doktora.

— Gdzie tam, panie, jego niema we Lwowie. Dziś rano dostał jakiś telegram i mówił, że musi wyjechać do Krakowa. To naprzód zawołał handełesów i tanio wysprzedał pańskie ubrania a jakieś nowe sam ubrał — mnie oddał klucz i kazał panu powiedzieć, że on umarł.

II.

Zaręczyny Józka.

Dostałem przedwczoraj depeszę ze Lwowa tej treści: „Przyjedź natychmiast do Lwowa — katastrofa — Józek.“

Nie bardzo mnie ta depesza przeraziła, bo znam Józka, ale żona zaczęła nalegać, abym skoczył do Lwowa, bo podróż przecież nie tak droga, a kto wie, co się tam stać mogło. Na dworcu we Lwowie oczekiwał mnie Józek. Zaledwie mnie spostrzegł, rzucił mi się szyję.

— Słuchaj mój drogi — mówił zadyszany — ja wiem, że ty mi nie wybaczysz tych grzechów, ale dziś ja już wszystko naprawię i dlatego depeszowałem po ciebie...

— Cóż się stało, gadaj, bo nic nie rozumiem.

— Powiadam ci, człecze, robię szczęście. Jeszcze dziś, albo najdalej jutro popłacę swoje długi, spłacę twoje długi jeszcze...

— Już, już, już zaczynasz, ja przecież ciebie znam.

— No, wiesz, — powiada urażony Józek — ty jesteś niepoprawny. Powiadam ci przecież, że sam się do wszystkiego przyznaję i dziś poprawiam wszystko.

— Mniejsza o to. Cóż to za katastrofa, dla której mnie tu sprowadzasz?

— Pisałem umyślnie „katastrofa“, bo nie byłbyś może przyjechał, ale to nie żadna katastrofa, tylko poprostu zaręczyny, moje zaręczyny.

— Słuchaj, Józek, ty już mnie na zaręczyny nie weźmiesz, to ci się tylko dwa razy udało, ale dziś już nie.... Zresztą nie mam ani guldena dla ciebie..

— No wiesz, jeśli ty mimo takich zapewnień jeszcze węszysz coś niedobrego, to nie mam z tobą

co mówić... Zresztą patrz na ten pierścień z brylantem.

— To może być „Stella-dyament“ za guldena.

— Siadaj ze mną do dorożki, po drodze wstąpimy do jubilera.

Pierścień był istotnie piękny. Wsiedliśmy do dorożki.

— Jedź do hotelu *** — zawołał Józek.

— Czemu do hotelu? — spytałem.

— Czekaj, opowiem ci wszystko. Otóż rzecz ma się tak: Przyjechały tu z Rosyi dwie panie, matka z córką. Przedwczoraj poznałem obie w restauracyi tego hotelu i młoda, powiadam ci, odrazu zakochała się we mnie na śmierć. Stara naturalnie także. A ty wiesz, jakie Rosyanki są bogate. Powiadam ci krociowa baba, pomyśl tylko, że mają cały klucz w Rosyi i jakieś dwie wioski w Galicyi zachodniej. Otóż widząc, że niema wiele czasu do stracenia, ja ci bęc na kolana w samej restauracyi i oświadczam się o rączkę panny Loli.

— Ciekaw już jestem, jak to się skończy...

— Ależ dziś wieczór zaręczyny. Tylko mówiłem im, że ja bez mego opiekuna t. j. bez ciebie ani rusz. Kazały więc zatelegrafować po ciebie i jesteś tu. Teraz słuchaj. One przecież nie zechcą hołysza, więc mówiłem im, że ty jesteś krociowym panem, a ja twoim spadkobiercą i pupilem.

— Proszę cię, tylko mnie nie wciągaj do swoich szelmowskich kawałów.

— Mój drogi, w partyi musi się trochę przesadzić, bo nigdy nie doszłaby do skutku. Zresztą zostaw to mnie, a pamiętaj, że jutro już nie mamy długów ani ja ani ty... Musisz więc dziś wziąć na siebie tę rolę na parę godzin, a nie zapominaj, że jesteś baro-

nem... pst... musisz, musisz synu, ja już im tak mówiłem, a nie wypada już kręcić, bo zepsułoby się wszystko..

— Ależ zwaryowałeś chyba...

— Nie bądźże upartym, bo mnie zrujnujesz a pamiętaj o naszych długach...

Zajechaliśmy przed hotel. Józek wchodzi pierwszy, a mnie każe iść za sobą. Służba hotelowa oddaje nam honory.

— Sługa pana barona, całuję rączki pana barona...

Zanim weszliśmy do pokoju, w którym mieszkały owe dwie damy rosyjskie, Józek poprosił mnie, abym zatrzymał się na kurytarzu, a on zajrzy, czy nas teraz przyjąć mogą. Czekałem. Po chwili Józek wraca zakłopotany.

— Mój drogi — powiada — nie gniewaj się, ale stara jakaś niedysponowana, prosiła, abyśmy zaczekali w restauracyi na dole, dokąd nadejdą z córką za kwadransik.

Weszliśmy do restauracyi. Józek kazał podać kolacyę tymczasem na dwie osoby. Zjedliśmy kolacyę i wypili dwie flaszki dobrego wina.

— To u mnie teraz nic nie znaczy! — powtarzał Józek ciągle dolewając wina Wpadliśmy obaj w różowy humor. Wreszcie nadeszły dwie piękne panie, obie młode i bardzo eleganckie. Józek przedstawił nas, ale nie wiedziałem, która jest matką bo obie były młode. Prosząc mnie na ucho, abym nic nie wspominał o zaręczynach, bo mógłbym „zrąbać wszystko na nic“, usadowił mię przy jednej a sam usiadł obok drugiej. Mówiły po rosyjsku i francusku a słabo po niemiecku.

Zaraz po kolacyi zaczęły strzelać szampanowe flaszki. Było bardzo wesoło, ale przebiegu tych za-

ręczyn nie pamiętam. Wiem tylko, że pierścień brylantowy Józka widziałem na palcu jednej z pań, że Józek flaszką wybił dwie szyby w restauracyi, żeśmy się dużo całowali, że nazajutrz rano wiózł mnie Józek w dorożce na dworzec kompletnie pijanego, sam kupił mi bilet za pieniądze z mojej portmonetki i wprowadził mię do wagonu.

W wagonie musiałem spać twardo, bo zajechałem o sześć stacyj dalej, aniżeli mi się według biletu należało. Ale wieczorem byłem już u siebie na wsi, Po wysłuchaniu okolicznościowego kazania od żony wyspałem się należycie, a dziś rano przyniosła mi poczta następujący list:

„J. W. Panie Baronie!

Dołączając rachunek za wczorajszą kolacyę oraz za wyrządzone podczas tejże szkody na ogólną kwotę 365 koron 94 hal., upraszamy uprzejmie o łaskawe wyrównanie go. W. Pan Dr. Józef *** zapewniał płatniczego, że JWPan Baron rachunek ten nazajutrz zapłaci, co gdy nie nastąpiło a obie tancerki z Rosyi przed wyjazdem ze Lwowa także go nie wyrównały, zmuszeni jesteśmy na tej drodze prosić o łaskawe uregulowanie rachunku do dni trzech. Z poważaniem Zarząd.“

III.

Mój lokator.

Od kilku dni jestem słomianym wdowcem. Ponieważ zostałem sam jeden na całem mieszkaniu, przeto wziąłem do siebie na czas kilku tygodni mojego kuzyna Józka, prosząc go, by mi był pomocnym przy mojem gospodarstwie.

— Człowiecze — rzekł Józek na moją propozycyę, zobaczysz, jaki będziesz miał raj w domu, ja przecież jestem kawalerem, znam się na wszystkiem, zgotuję ci rano śniadanie, wieczorem kolacyę, wskażę ci gdzie można dostać najlepsze obiady, będziesz ze mnie kontent — jeszcze dziś wieczór wprowadzam się do ciebie, bo i tak wymówiłem mieszkanie.

Wieczorem zjawił się Józek. Jakiś mały chłopak niósł za nim walizkę.

— No, chwała Bogu — rzekł Józek — już mieszkam u ciebie.

— Ale ty się lubisz puszczać — powiadam mu — a mnie głównie chodzi o to, aby ktoś spał u mnie, bo niechętnie sypiam sam.

— O — rzekł Józek — ja teraz jestem całkiem inny. Nawet sobie to wymawiam, że o dziesiątej wieczór mamy być w łóżku, o szóstej rano wstajemy, a ja sam zajmę się śniadaniem. Jednem słowem — będziesz miał raj. Do posługi będzie tu przychodzić ten mały. Nazywa się Mikuś i służy u mnie już od pięciu miesięcy. Jestem z niego bardzo zadowolony. To syn mojego dawnego stróża. Mikuś, podwyższam ci pensyę o trzy szóstki na miesiąc, ale masz się sprawować dzielnie. Teraz możesz iść, a jutro przyjdź rano o szóstej!

— Dobrze, proszę pana — zawołał uśmiechnięty Mikuś — i odszedł.

— A teraz idziemy spać — powiada Józek — ja ścielę, jak najlepsza pokojówka. Tylko jeszcze trzeba budzik nastawić na szóstą rano.

Za kwadrans byliśmy już w naszych łóżkach, a w chwilę później Józek chrapał. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, ale o szóstej rano zbudził mię hałaśliwy dzwonek budzika. Zaglądnąłem do drugiego łóżka, ale już Józka nie było. Podobało mi się to bardzo, że wstał tak wcześnie i poszedł do kuchni przyrządzać śniadanie.

Chciałem się ubrać, ale na krześle nie było mojego ubrania, tak samo przed łóżkiem nie znalazłem trzewików.

— Poczciwy chłopak ten Józek — pomyślałem — nawet i o tem pamiętał, by mi oczyścić z kurzu garnitur i buciki; już tam razem z Mikusiem w kuchni pracuje. Żeby tylko tak dalej..

Zadzwoniłem. Nikt nie przychodzi. Dzwonię drugi raz, niema nikogo. Wychodzę z łóżka i idę do kuchni, wszędzie pustki. Cóżby to być mogło? Może sam poszedł po bułki do śniadania? Wracam do sypialni a przed łóżkiem, w którem spał Józek, leży jego wyszarzały garnitur i trzewiki z wytartymi obcasami. A więc ubrał moje buty i mój garnitur? Nie inaczej. Otwieram jego walizkę i znajduję tam jeden mankiet, kawałek z krawatki, dwa noszone kołnierzyki, lornetkę, pomadę na wąsy i jakiś termometr. W dodatku zamknął mieszkanie na klucz i poszedł. Ale dokąd? I kiedy? Zaczynam się niecierpliwić. Wołam przez okno dozorcę.

— Słuchajcie Macieju, czy nie widzieliście gdzie tego pana, który u mnie nocował, taki przystojny blondyn z cwikierem?

— A, proszę pana — mówi dozorca — wychodził stąd jakiś pan około dwunastej w nocy i mówił, że pan sam za niego zapłaci szperę, mówił, że idzie do doktora, bo mu się słabo zrobiło.

Myślałem, że się wścieknę. Kręciłem się boso po pokojach, nie wiedząc, co mam począć. Razem z moim garniturem zabrał mi wszystkie pieniądze i klucze od szaf, skutkiem czego nie mogłem wybrać sobie innego ubrania. Około godziny 8. zapukał do mnie Mikuś.

— Nie mogę otworzyć, bo twój ładny pan zamknął mnie i poszedł jeszcze w nocy.

— A to ja już wiem, ja go zaraz znajdę i sprowadzę — rzekł Mikuś, zbiegając po schodach.

W dwie godziny potem wrócił Józek w okropnym stanie, wsparty na Mikusiu niby na lasce. Nie poznałem mego ubrania.

— Nie gniewaj się — bełkotał Józek — ale słabo mi się zrobiło, i te... i to... i poszedłem na lekarską wystawę hygieniczną.

Po tych słowach rzucił się na łóżko i zasnął.

IV.

Józek, czy ja?

W nieobecności mojej żony, która wyjechała na lato, sypia u mnie Józek. Należy to w ten sposób rozumieć, że w nocy niema go nigdy w domu, a wraca dopiero rano i kładzie się do łóżka na cały dzień. Zdarza się także czasem, że nie przychodzi do domu przez dwie doby, aż trzeciego dnia wraca wymięty i śpiący i opowiada, że był bardzo zajęty, bo kuł z kolegami do rygorozum. W takich razach kładzie się spać i śpi 24 godzin. Tak było i wczoraj.

Wrócił rano po dwudniowej nieobecności w stanie rozpaczliwym i odrazu wsunął się do łóżka.

— Tylko pamiętaj, mój drogi — rzekł Józek — pamiętaj, nie budź mnie, bo jestem tak zbity z tej nauki...

— No, no — powiadam — już ja znam twoją naukę, śpij, pogadamy ze sobą potem...

— Widzisz — mówi Józek — ty jesteś taki nieznośny, tak mało wyrozumiały. Prosiłem, żebyś poszedł ze mną, nie chciałeś; porzuciłem więc myśl birbantki i poszedłem kuć do rygorozum a ty się krzywisz, no, dobranoc!

— Dzień dobry panu, śpij!

Ledwie Józek usnął, zadzwonił ktoś do mego mieszkania.

— Kto tam?

— To ja, pan dobrodziej mi kazał przyjść dziś rano.

Otworzyłem. Jakiś kudłaty jegomość podał mi bilet wizytowy, mój własny bilet.

— To jest rachunek — rzekł kudłaty gość.

— Jaki rachunek? — spytałem.

— Pan wczoraj u nas był w kawiarni z paniami z Colosseum i kazał dziś przyjść, to się tu zapłaci. Na bilecie były słowa: „Jutro rano zapłacę 56 kor. 60 hal.“ i mój podpis.

Z biletem w ręku idę do sypialni, aby spytać Józka, co to ma znaczyć, ale on śpi snem sprawiedliwego i ani rusz go obudzić.

Nie było innej rady — musiałem zapłacić. Kudłaty kelner odszedł i na schodach spotkał się z jakimś chłopakiem.

— Do mnie? — pytam stojąc jeszcze we drzwiach.

— Tak jest, ja przychodzę prosić o 25 koron za ten bukiet, co go pan u nas, przez brata, zamówił dla tej śpiewaczki z Colosseum, tu jest bilet.

— A to co znowu? — wrzasnąłem, odbierając bilet i pędząc znów do sypialni — Józek wstawaj, co to za robota!

— *Aber Mizzi* — bełkota Józek przez sen — *nur einen Kuss und Schluss!*

— Józek! — wołam, targając go — niech cię jasny dunder świśnie, wstawaj, przyszła ta dama.

— Pas blind — mówi Józek przez sen — a dwadzieścia besser! Tylko proszę nie odkrywać mojej karty, bo się przeziębi..

Widziałem, że go nie obudzę, choćbym do niego strzelał z armaty. Wracam więc do chłopca:

— Ja nie zamawiałem, ja nie płacę.

— A to pański bilet.

— Ten bilet mi ktoś skradł, powiedz twemu panu, że go oszukano.

— A no, to mój pan zaskarży.

— Niech was dyabli wezmą, masz tu 25 kor.

Jeszcze nie odszedł chłopak od ogrodnika, gdy zjawił się u mnie jakiś portyer hotelowy z listem:

„Wielmożny panie Redaktorze! Jeszcze przed 3 dniami przyrzekł mi W. Pan reklamę w swojej gazecie dla mojego hotelu i restauracyi i wziął Pan u mnie *a conto* 100 koron. Gdy dotąd tej reklamy nie było, proszę o zwrot 100 koron, gdyż oddam sprawę adwokatowi i ogłoszę w dziennikach, żeś Pan odemnie wyłudził pieniądze. Bilet pański załączam.“

Zrobiło mi się gorąco. Adres był mój i mój bilet. Gotowy skandal. W pasyi chwyciłem miednicę pełną wody i wylałem na Józka, aby go obudzić.

Wyskoczył z łóżka, jak zając.

— Zwaryowałeś, ładne żarty!

— Ale coś ty mi narobił u tych kawiarzy i hotelarzy i ogrodników...

— No, ale ten sposób budzenia kogoś, jestem teraz cały mokry, a tu mają przyjść dwie panie, fe, wiesz, że ty jesteś dziwakiem! Naprawdę!

— Co za panie? — pytam.

— A no te z Colosseum. Chcąc ciebie koniecznie poznać.

— Józek — wołam wściekły — zbieraj się i wynoś mi się natychmiast!

— Widzisz, chciałby z niemi sam zostać...

— Ale co z tym hotelem i tą reklamą; blamujesz mnie, będzie skandal! Wynoś mi się zaraz!

— Nie bądź naiwnym. Sam pójdę i załatwię..

— A co z temi paniami? Ja ich przyjąć nie mogę...

— No, to idź z domu, one i tak myślą, że ja to ty. Idź i wracaj jutro, dalibóg, ale to ostatni raz, no, fe, nie gniewaj się. Daj pyska, ty... ty... niezdaro! Masz urlop do jutra... Servus!

Sen mojej żony.

Nigdy nie dawałem żonie powodu do zazdrości i nasze niebo małżeńskie było czyste, jak sumienie noworodka. Mogłem prawić komplimenty młodym paniom i pannom, mogłem lornetować je w teatrze, mogłem rzucać znaczące spojrzenia — moja żona śmiała się tylko i nigdy nie była zazdrosną.

— Ma w tem swoją przyjemność — mawiała do przyjaciółek — to niech kokietuje, lornetuje...

I byłem najszczęśliwszym z mężów.

Ale onegdaj zerwała się żona bardzo wcześnie i zbudziła mnie prawie gwałtownie. Otworzyłem oczy.

— Słuchaj, ale tylko szczerą prawdę mów: co to za jasna blondyna w fioletowym kostyumie i ponsowym kapeluszu?

Przetarłem oczy.

— Nie wiem o kogo pytasz, ale nie znam takiej wcale..

— Już teraz wiem o wszystkiem! Wam mężczyznom wierzyć nie wolno, jak psom! O, ja nieszczęśliwa!

Sięgnąłem pamięcią o czternaście lat wstecz, ale ani jedna z moich dawnych znajomych nie była jasną blondynką w fioletowym kostyumie i ponsowym kapeluszu.

— Powiedz mi, o co chodzi, może ci wytłómaczę.

— Nie, to się nie da wytłumaczyć blagą, ja już wiem o wszystkiem — o, ja nieszczęśliwa, ja się otruję, utopię!

— Ależ zastanów się...

— Przyznaj się lepiej do wszystkiego, masz z nią stosunek, prawda? Tylko prawdę mów i wszystko, wszystko...

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— A widzisz!

Po długich naleganiach dowiedziałem się, że się to wszystko mojej żonie śniło. Widziała mię w separatce z ową blondyną. Wypiliśmy kilka flaszek szampana, a gdyśmy potem odjechali dorożką, żona z desperacyi zbudziła się i chciała teraz dowiedzieć się koniecznie, jakie było zakończenie tej zabawy A że w sny wierzy święcie, więc jest przekonaną, że coś w tem być musiało.

Nie pomogły moje przysięgi i perswazye, żona szlochała, jak dziecko. Poszedłem do biura. Wróciłem w południe, ale nie jedliśmy obiadu. Znowu perswazye, znowu bez skutku. Uciekłem do kawiarni. Miałem sumienie czyste, a jednak ciążyła mi głowa ołowiem.

Wrociłem do domu dopiero pod wieczór. Zastałem tu już zgromadzoną całą rodzinę. Teściowa, dwie szwagrowe, ciotka i dwie kuzynki. Wszystkie bardzo smutne.

— Przeproś żonę — mówiła teściowa — i przyrzecz, że to się już nigdy nie powtórzy...

— Ależ co się ma powtórzyć — spytałem zrozpaczony — i za co właściwie mam ją przeprosić?

— Widzi mama — rzekła żona z płaczem — on się wypiera i nawet przeprosić nie chce.

— Więc przeproś, przeproś — zawołały baby chórem — o cóż ci chodzi, przeproś ją, patrz, jaka zmartwiona.

— A więc... przepraszam...

— Jeszcze mamę przeproś — mówiła żona — i Helę i Felę i Gucię i Jadzię, bo one się także zmartwiły przez ciebie.

I musiałem po kolei przepraszać jedną za drugą za to, że się mojej żonie przyśniła jasna blondyna w fioletowym kostyumie i ponsowym kapeluszu. Gdyby choć mnie się to było śniło!

Mała kamienica.

Istnieje sobie we Lwowie mała kamienica przy jednej z małych ulic, taka sama, jak tyle innych przy tej samej, lub przy innych ulicach. Kamienica jest małą, ale za to ma dużo lokatorów i to rozmaitego pochodzenia, profesyi i branży. Jak zresztą w każdej małej kamienicy przy małej ulicy, pod którymbądź numerem. Jest więc i mistrz kunsztu szewskiego, który naturalnie od czasu do czasu posyła żonie prosto do głowy bardzo twarde kopyto, a w nieobecności żony odbiera tę poleconą posyłkę jeden z terminatorów — także głową, z czego odrazu domyśla się, że mistrz jest w niedobrym humorze. Jest i grajzlernik, który ma z frontu interes, a z tyłu mieszkanie, i jak najwięcej dzieci, jeszcze młodych, a już głośnych, ale ich niema znowu zanadto wiele — czego najlepszym zresztą dowodem jest, że wygląd żony zapowiada na dziś-jutro wesołe pomnożenie familii i liczby przyszłych spadkobierców.

Jest i praczka, która z brudów kilkunastu rodzin pięknie utrzymuje męża, prawie bez pauzy pijanego nawet we śnie i coś ośmioro dzieci różnych ojców i lat, no i siebie. Jest i zawodowa pośredniczka sług, która z trzech sług lokowanych co tydzień na innem miejscu wcale pięknie utrzymuje się od lat czterech i ma nawet bardzo piękny skład ubrań, bie-

lizny, biżuteryi i t. p. o różnych monogramach, jako dowód pilności, oszczędności i wierności swoich trzech stałych klientek. Jest i nafciarka, która sprzedaje w małym frontowym sklepiku naftę na kredyt, a ciągle się procesuje z odbiorcami swymi, którzy pragną cudzej jasności zadarmo, a w wolnych chwilach zaopatruje kawalerskich lokatorów prawie całej ulicy w miłe a tanie towarzystwo, rekrutujące się ze sług, które mają niejako swoje kasyno u nafciarki, także na kredyt, bo ma miękkie serce, jak masło w lipcu.

To jest mniej więcej parter, ale tylko mniej więcej, bo mniej ważnych lokatorów parterowych, jak kanalarz z familią, stara wdowa, przełożona instytucyi miejskiej, zwanej „jegermanówką“ i jeszcze kilku innych bez bliżej określonego zajęcia, pomijam.

Ale kamienica od tego jest kamienicą, aby miała piętro. Ma wprawdzie tylko jedno piętro, ale gospodarz, mieszkający gdzieindziej, oświadczył, że czeka tylko, aż się dach całkiem zniszczy — to potem na tem jednem piętrze wystawi drugie piętro, pomaluje kamienicę od frontu, podwyższy lokatorom czynsz i wszystko nakryje nowym dachem.

Na tem więc piętrze mieszkają naturalnie sami lepsi ludzie, którym z tytułu rangi, dochodów, urodzenia i znaczenia w hierarchii społecznej, należy się wyższe mieszkanie. A więc są główni lokatorowie, których jest ośmiu i sublokatorowie, których jest bardzo, ale to bardzo wielu. Najgłówniejszym lokatorem jest dyrektor. Niewiadomo, od czego jest dyrektorem, bo ani żona, ani dzieci, ani żaden z lokatorów nie potrafi na to odpowiedzieć, ale zapisał się na kartce meldunkowej jako dyrektor, i to powinno wystarczyć. Ma dwa pokoje, z których jeden odnajmuje czterem studentom, a drugi trzem pannom „od szycia“.

Sam mieszka z żoną i dziećmi w kuchni, gdzie odbywają się familijne narady, sprzeczki, a nawet około niedzieli bójki, z których przeważnie zwycięsko wychodzi sam dyrektor, a nigdy żona. A dalej, jakiś urzędnik, którego tytułują komisarzem, sekretarzem, komornikiem i jeszcze inaczej, pomimo, że wedle kartki meldunkowej jest dyurnistą c. k. krajowej Dyrekcyi skarbu. Ten ma jeden pokój z kuchnią i czterech akademików „na stancyi".

Dalej muzykant z damskiej kapeli, w którego pokoju mieszkają trzy muzykantki, wprawdzie niepiękne, ale za to leciwe. Zaraz obok kelner z żoną i familią ze swojej strony i ze strony żony, oraz dziećmi, które niezawsze dadzą się przeliczyć. Potem samotna wdowa, która umożliwia schadzki delikatne potrzebującym cienia i schronienia i ma kilka wcale ciekawych albumów z fotografiami rodzaju żeńskiego. Potem inna niepocieszona wdowa, która żyje mniejwięcej z pensyi i mieszka z psem i ma długie paznogcie i chodzi codzień do kościoła nietylko rano, ale i wieczorem i wraca bardzo późno, czemu się dziwią wszyscy lokatorowie z wyjątkiem stróża, który jest w nocy bardzo zaspany i nie poznaje nikogo.

Bo trzeba wiedzieć, że i stróża ma ta kamienica, którego wprawdzie przez dzień cały niema w domu, ale którego zastępuje w dozorowaniu lokatorów siedmioletnia córeczka, czuwająca nad porządkami w kamienicy.

Tacy są lokatorzy i taką jest mała kamienica we Lwowie przy jednej z małych ulic, jak tyle innych przy tej samej, lub przy innych ulicach.

Nu?

Potrzebowałem na gwałt pieniędzy. To mi się wprawdzie zdarza trzydzieści razy w miesiącu, ale wczorajsza moja potrzeba była większa, niż zwyczajnie, bo musiałem je mieć natychmiast. W takich razach nie chodzę do banku, a udaję się wprost do mego „geldgebera“, który rezyduje na Wałach hetmańskich, a nazywa się Leib. Po długich poszukiwaniach znalazłem go. Siedział na ławeczce, oparty o grubą laskę i dumał.

— Dzień dobry panie Leib — przemówiłem słodko.

— Nu? — zapytał Leib.

— Pan się pewnie domyśla, co mnie do pana sprowadza...

— Nu?

— Jestem znowu w kłopocie, a wiem, że pan jesteś najuczciwszym człowiekiem pod słońcem, bo współczujesz...

— Nu?...

— Widzę, że pan ciekaw, ile potrzebuję...

— Nu?

— Nie dużo, wystarczy 200 koron — i to, proszę pana na jeden miesiąc...

— Nu?

— Wiem, wiem, chodzi panu pewnie, jakie będą odsetki... Otóż, proszę pana, jak zwykle — jak zwykle ..

— Nu?

— Pomyślałem i o tem. Podpisze dr. Hołysz i bar. Goliński..

— Nu?..

— Rozumiem. To panu nie wystarcza, bo oni tyle warci, co ja, to prawda, ale trudno o lepszego, wiesz pan, jeszcze dziś, zaraz na pierwszego...

— Nu?...

— Widzę, że panu to nie wystarcza. Ale w takim razie podpisze moja żona, a to już chyba...

— Nu?...

— Jeżeli pan jeszcze na takie trzy podpisy mówi „nu“, to żegnam pana i idę do pańskiego konkurenta...

— Nu, nu!

— Ale proszę pana, pan nie powinien się narażać. Pan wiesz, że panu się u mnie więcej należy, a gdybym pana porzucił, to może pan na to krzyżyk zrobić.

— Nu?...

— Więc radzę jeszcze ten raz spróbować, a możesz pan być pewnym, ze pana zadowolnię...

— Nu?...

— Nie rozumiem, czego się boisz, przecież moje meble jeszcze zawsze warte tych głupich 200 koron?

— Nu?...

— Wiem, wiem; mówisz pan, że są już dawno zajęte, ale tam są jeszcze rzeczy wolne...

— Nu?..

— A zresztę daj pan jakiegoś żyranta, a ja mu zapłacę za fatygę...

— Nu?...

— Ile? To już zależeć będzie od umowy. Zresztą, zostawiam to panu, 20 koron dość, co?

— Nu?...
— Nie dość. A więc trzydzieści koron...
— Nu?...
— Więcej, jak czterdzieści nie dam...
— Nu?...
— A więc interes załatwiony, co?
— Nu, nu!

Straszny pożar.

Redakcya wydelegowała mnie do ostatniego pożaru. Noc była ciemna i dżdżysta, więc nie mając ochoty jechać na dość odległe miejsce pożaru, poprosiłem znajomego akademika, ażeby mnie zastąpił. Wiedziałem, że uczyni to chętnie, bo od dłuższego czasu sposobi się do dziennikarskiego zawodu na żądanie ojca, który twierdzi, że syn ma talent. Syn zaś twierdzi, że pisze oryginalnie, nie naśladuje nikogo, że jest sam sobą.

O godzinie 6. rano utalentowany młodzieniec zapukał do mego mieszkania i przedłożył mi następujący rękopis:

Straszny pożar.

Ubiegłej nocy odbył się groźny pożar przy ul. Janowskiej w realności pod l. 82 Właściciel tej realności nie mógł sam zająć się akcyą ratunkową, ponieważ w realności tej niema wody, a także i z tego powodu, że w czasie pożaru nie był obecny w domu. Wobec tego musiano zawezwać straż pożarną, tak ochotniczą, jak i niedobrowolną. Ochotnicza nie chciała przybyć. Straż, która po jakimś czasie przybyła na miejsce, skonstatowała, że pożar jest niebezpieczny

i powstał z podpalenia lub z innego niewiadomego powodu. Poczem zabrała się do istotnego gaszenia ognia. Ponieważ pożar wybuchł w realności pod l. 82. przeto straż postanowiła głównie tę realność ratować, podczas gdy sąsiedni mieszkańcy, siedząc na dachach swych domów, uważali pilnie, ażeby ogień nie wybuchł w ich domach, co też istotnie nie nastąpiło. Widok był nastrojowy i wspaniały. Straż pożarna zabrala się więc energicznie do gaszenia ognia przez ustawienie sikawek naprzeciw płonącej realności. Lecz pokazało się niestety, że pomimo całej energii naszej straży z sikawek woda nie szła, bo w nich wogóle wody nie było. Z sikawek szedł tylko wiatr, który jeszcze bardziej rozdmuchiwał pożar. Wobec tego wezwano sąsiadów, ażeby znosili wodę konewkami i innemi naczyniami i wlewali ją do sikawek. Wezwane kobiety i dzieweczęta z sąsiedztwa przybiegły z konewkami na miejsce i wlewały wodę do pożarowej beczki, za co należy im się słowo gorącego uznania. Niestety i ten środek okazał się niedostatecznym, gdyż woda po większej części uciekała z podziurawionych beczek na ziemię, a tylko mała część dostała się do ognia, nie mogąc go w żaden sposób ugasić. Musiano więc posłać po inne sikawki, na które czekając, ogień rozszerzał się coraz gwałtowniej. Gdy nadeszły, straż pracowała dalej energicznie, wobec czego płomień zaczął sie coraz bardziej srożyć. Naczelnik straży odznaczał się czerwoną czapką. Gdy już cała realność spłonęła do szczętu, ugaszono ogień.

Żadne życie ludzkie nie padło ofiarą płomieni, a jedyna służąca, obecna w domu płonącym, uratowała nagie życie w koszuli. Ze sprzętów prawie wszystko spłonęło, a uratowano tylko jedną krowę, którą skradziono.

Szkoda była bardzo znaczna, pomimo, że nie była ubezpieczona. Brak przyrządów pożarowych był — zdaniem naczelnika — przyczyną groźnego pożaru. Niechajże stąd sfery miarodajne wyciągną naukę, że magazyn przyrządów pożarowych należy budować blizko miejsca pożaru.

Po wiecu kobiet.

Sam nie wiem, jakim sposobem dostałem się na „Wiec kobiet“. Porwały mię ze sobą cztery panie — między niemi i moja żona — i zaprowadziły na wiec.

Żona moja nasuwając mi kapelusz na głowę i wtykając mi parasol do ręki, mówiła:

— Chodź z nami, a przekonasz się na własne uszy, że to, co ja ci od roku mówię, nie jest czczym frazesem, ale rzetelną prawdą, my kobiety musimy mieć równe prawa z wami!

Jestem wielkim zwolennikiem kobiet, od samego urodzenia otaczam się chętnie kobietami, moja matka jest kobietą, tak samo moja córka, moja żona, moja teściowa. Sprawa ich równouprawnienia obchodzi mnie żywo, a nawet więcej, niżby się same kobiety spodziewały. Mnie chodzi właśnie o równe prawa dla wszystkich ludzi.

A moja żona chce mieć większe prawa. Długo nosiłem się z zamiarem zwołania „wiecu mężczyzn“, ażebyśmy się pokryjomo zeszli w jakiejś sali, cicho, bez afiszów, bez komisarzy policyi i upomnieli się o nasze słuszne prawa, o równouprawnienie z kobietami. Myślałem nad tem całymi dniami, a nawet mówiłem o tem ze snu.

To mię zdradziło. Śniło mi się, że przemawiam na naszym wiecu i kończę moją mowę wielkim gło-

sem: „...Niech więc mężczyzna wydaje tyle na stroje, ile wydaje kobieta, niech nie dźwiga sam całego ciężaru domowego, niech nam kobiety pomagają służyć przy wojsku, niech z nami idą do straży pożarnej, jednem słowem żądamy równouprawnienia z kobietami!“

Ten koniec mojego przemówienia dosłyszała moja żona, i ażeby mnie ubiedz, rozgadała tutejszym kobietom o moich planach. To podobno spowodowało onegdajszy wiec kobiet.

Wzięły mnie więc kobiety do środka i otoczyły kółkiem. Gdy referentka mówiła o upośledzeniu kobiet, otaczające mię panie poszturkiwały mię niemiłosiernie parasolkami, wołając ciągle:

— A widzisz, a widzi pan, a co pan na to, a słusznie!

Nie śmiałem oczywiście odezwać się, bo przy tak olbrzymiej większości byłyby mnie zakłuły parasolkami i szpilkami od kapeluszy. Powtarzałem więc tylko:

— Jestem zachwycony!

— Wy jego nie znacie—przerwała moja żona— on jest zachwycony samą referentką, a nie tem, co ona mówi, tego on nigdy nie uzna, ten tyran!

Tem dobiła mnie do reszty. Zarumieniłem się, jak panienka, i wbiłem oczy w ziemię. Kobiety tryumfowały. Wyszedłem z wiecu złamany, zbity, zgnieciony, rozkrochmalony. Żona eskortowała mnie do domu, jak aresztanta. Po drodze wzdychałem tak gorżko, że zapociły się wszystkie parterowe szyby przy ulicy Zimorowicza, którą wracałem. Ale najgorzej jest u mnie w domu po wczorajszym wiecu. Moja żona z miną kaprala popycha mnie z pokoju do pokoju, nazywając mnie tyranem, dyktatorem, Neronem, Drakonem, rozbójnikiem...

Nasza kucharka, która także była na wiecu, tłumaczyła wczoraj do północy naszej niańce, do czego dążą kobiety, a dziś rano zwołała wszystkie sługi z całej kamienicy i powtórzyła im cały program wczorajszy. Jednem słowem, przewrót świata. Wobec tego już otwarcie zwołuję „wiec mężczyzn“ na niedzielę z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie.
2) Upośledzenie mężczyzn.
3) Krzyk o emancypacyę mężczyzn.
4) Wnioski.

Wiec, ze względu na żonatych uczestników, odbędzie się popołudniu, a zakończy się przed szperą.

Towarzysze niedoli! Jawcie się najliczniej ażeby nareszcie położyć kres naszemu upośledzeniu!

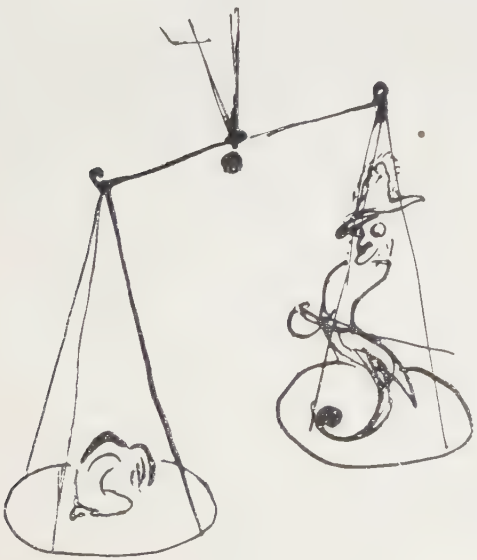

Wiec mężczyzn.

Pierwszy krajowy wiec mężczyzn odbył się ubiegłej niedzieli w jednej z tutejszych kawiarń w osobnym pokoju, przy zamkniętych drzwiach. Wstęp mieli tylko zaproszeni goście, którzy musieli się wykazać drukowanem zaproszeniem i legitymacyą. Zachodziła bowiem obawa, że znane z przebiegłości kobiety zechcą gwałtem, bodaj w przebraniu męskiem dostać się na nasz wiec, ażeby nam rozbić zgromadzenie i głowy. Wiec był bardzo liczny, choć nie wszyscy uczestnicy brali udział w naradach. Wielu bowiem musiało czatować przy drzwiach i oknach, i wyglądać na ulicę, czy nie zbliża się wróg lub szpieg a niektórzy spacerowali przed lokalem i nie śmieli wejść do środka. Jeden przyszedł incognito, w masce.

Pierwszy zabrał głos referent, rozglądnąwszy się dokoła, czy go kto nie podsłuchuje. Podniósł, że każdy mężczyzna, który ma otwarte oczy, musiał już dawno zauważyć, iż stanowisko jego w porównaniu z pozycyą społeczną i towarzyską kobiety jest podrzędne i nie zasługuje na miano ludzkiego. Jesteśmy poprostu skazani na to, że nas kobiety na każdym kroku spychają coraz bezwzględniej do rzędu niewolników. Ze łzami w oczach przytacza szan. referent jaskrawe przykłady teroru kobiet i niesłychanego poniżenia mężczyzn.

W dłuższem zakończeniu wzywa obecnych do zawiązania stowarzyszenia samopomocy mężczyzn-wyzwoleńców, któreby dążyło do zupełnego równouprawnienia mężczyzn z kobietami. Legalnymi środkami do tego celu będą: bierny opór, uświadamianie mas ciemnych, jęczących w jarzmie małżeńskiem, a w razie potrzeby strejk, lub wychodztwo.

Kobiety zwołują wiece, ażeby jeszcze bardziej wzmocnić swoje stanowisko i wydrzeć nam resztki strzępków naszych praw. Lecz my ocknęliśmy się i zabieramy się do pracy! Po burzy cichych oklasków rozpoczęła się dyskusya.

Pan Pantofliński (pseudonim) przyciszonym głosem podniósł, że najkonieczniej potrzebuje mężczyzna ochrony od chwili, kiedy się ożenił. (Głośne potakiwania.) Kobieta bowiem uważa małżeństwo za instytucyę zaopatrzenia a męża za niewolnika, który ma się starać o wszystko. Kto nie zna strasznego, codziennie powtarzającego się zdania żony: „nie mam co ubrać“. Kobieta może mieć szczelnie wypełnione sukniami, kapeluszami i innymi przedmiotami damskiej garderoby wszystkie swoje szafy, szuflady, wieszadła i paki, a przy każdej sposobności twierdzi, że nie ma co ubrać. (Oklaski i potakiwania).

Pan Spokojnicki (pseudonim) płakał. Opowiadał długi szereg faktów, wstrząsających grozą. Żona i córki po całych dniach chodzą i nigdy ich w domu niema, a on nie ma prawa siedzieć dłużej w mieście ponad przepisaną przez żonę godzinę. Gdy się spóźnia, robi mu żona cierpkie wyrzuty, więc stara się wejść cicho. Lecz żona wynalazła na to sposób. Rozstawia mianowicie gęsto krzesła, ażeby je pociemku potrącał i ją budził. Potem robi mu awanturę.

Pan Cichacki (pseudonim) opowiadał, że doprowadzony raz do rozpaczy chciał się powiesić, ale mu nie pozwoliła teściowa. Odkąd się ożenił, żyje w ciągłym strachu i niepokoju, cierpi na manię prześladowczą. (Cichy pomruk.)

Pan Prawdzicki (pseudonim) nawoływał do pracy. Naszem hasłem niech będzie równość, a gdyby kobiety na to się nie godziły, to wojna kobietom, precz z hegemonią kobiet, niech żyje wyzwolenie! (Burza cichych oklasków).

Jeden tylko znalazł się obrońca kobiet, ale pokazało się, że jest ojcem 6-ciu córek, a sam już doszedł do tego wieku, w którym mężczyzna zaczyna być kobietą. Zakrzyczano go cicho.

Po dłuższej dyskusyi uchwalono wysłać deputacyę na najbliższy wiec kobiet, któraby doręczyła prezydyum wiecu kobiecego naszą męską rezolucyę. — Lecz nikt nie chciał wejść w skład tej deputacyi. Pan Pantofliński radził napisać ją we formie memoryału i przesłać pocztą. Nikt z zebranych nie chciał podpisać rezolucyi, ani memoryału, wobec czego zarządził przewodniczący głosowanie. Lecz zanim przystąpiono do głosowania, odezwał się ktoś nieostrożnie: „żona idzie!“... Ale nie dodał, czyja żona i dlatego za sekundę nie było na sali ani jednej nogi. Wszyscy pouciekali. — Nowy dowód teroru kobiet!

Dobrodziejka.

Odwiedziłem na klinice chorego. Leżał na wielkiej sali wraz z innymi chorymi. W sali duszno i gorąco.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekł do mnie chory — bo nie wiem, czy się jeszcze kiedy zobaczymy.

Nie śmiałem go nawet pocieszać: bo przed godziną mówił mi asystent kliniki, że niema żadnej nadziei uratowania chorego.

— Lekarze — mówił dalej chory — robią mi dobrą nadzieję, ale każdy chory sam wie najlepiej..

— Chory bywa pesymistą — zauważyłem — lekarze zaś sądzą bezstronnie...

— To też nie tracę nadziei, choć wiem, że do jutra nie doczekam. Żal mi tylko, że nie będę już mógł odwdzięczyć się profesorowi i asystentom, bo to bardzo godni ludzie. Co ci dla mni robili, ile oni się starali!...

W tej chwili weszła siostrzyczka Aniela, zwana tu „dobrodziejką“ i podała choremu termometer.

— Mnie już tego nie potrzeba — rzekł chory słabnącym głosem.

— Strasznie pan grymasi — rzekła dobrodziejka z mazurska — dla pana to już naprawdę czas..

To rzekłszy, wyciągnęła choremu poduszkę z pod głowy i rzuciła ją na sąsiednie łóżko, poczem wyszła ze sali.

— Co to ma znaczyć? — spytałem chorego.

— Nie pytaj. To jest wojna, którą dobrodziejka ze mną prowadzi, odkąd tu leżę. Jestem zbyt wyczerpany, aby ci opisać jej postępowanie ze mną i innymi chorymi. Ja już i tak długo cierpieć nie będę, żal mi tylko innych.

— A czemuż wyrwała tę poduszkę?

— Głowa mi cięży tak, że sobie dla niej miejsca znaleźć nie mogę. Myślałem, że mi lepiej będzie, gdy będę miał jeszcze jedną poduszkę i jeden z chorych podał mi poduszkę z sąsiedniego łóżka niezajętego. Istotnie, było mi trochę lżej. Lecz dobrodziejka sześć razy dziennie wyrywa mi poduszkę z pod głowy i mówi, że kto chce mieć jeszcze jedną poduszkę, powinien ją sobie z domu przynieść. Kazałbym sobie przynieść z domu, ale porządek kliniczny na to nie pozwala...

Tymczasem inni chorzy spacerujący po sali zbliżyli się do łoża mojego interlokutora.

— Pan nie ma pojęcia, co to za jędza, co ona z nami wyrabia i jak nas gryzie — mówił jeden.

— Czemuż się nie żalicie przed profesorem. Czy profesor wie o wszystkiem?

— O niczem nie wie, to godny człowiek, onby ją zaraz napędził. Tak samo nie wie o niczem asystent. Oni by jej dali nauczkę.

— Panowie sami jesteście sobie winni, skoro nikomu o tem nie mówicie.

Tu zaczęto mi opowiadać rzeczy wprost okropne, o „dobrodziejce“. Ta pobożna duszyczka w habicie zakonnicy ma naprawdę modlitwę tylko na języku a dyabła w duszy.

— Możebym sam poszedł do asystenta — spytałem chorego, do którego przyszedłem.

— Nie chcę go martwić, ja już i tak jej poprawy nie doczekam. Próbowałem przed tygodniem pisać list do profesora... masz go tu. Nie wysłałem go, aby mnie profesor nie posądzał o jakieś zachcianki lub grymasy. To godny człowiek, tak jak i asystent, ale właśnie dla tego nie chcę ich martwić.

Cieszę się tylko, że siostrzyczka Aniela nie będzie już długo moją dobrodziejką.

Tak mówił chory wieczorem. Nad ranem skonał. Dobrodziejka pierwsza zbliżyła się do trupa i wyrwała mu z pod głowy poduszkę.

Lekcya tańców.

— Mój kochany — powiada do mnie onegdaj żona — to nic nie pomoże, ty musisz pójść do nauczyciela tańców na parę lekcyj, bo mamy w tym karnawale być na kilku wieczorkach, a bez tańców nie ma sensu chodzić na wieczorki.

Broniłem się, jak mogłem, tłumaczyłem żonie, że to byłoby śmiesznem teraz zaczynać naukę tańców, skorom tego dotąd nie uczynił — nie pomogło nic.

Drugiego dnia wieczorem byłem już w szkole tańców. Zgodziliśmy się z profesorem, że za umówioną kwotę z góry płatną, ma moje nogi w dziesięciu lekcyach doprowadzić do takiej perfekcyi, że będą mogły śmiało stanąć do każdego tańca.

I odrazu rozpoczęliśmy pierwszą lekcyę „kroków“. Te kroki, a raczej ta lekcya kroków, to martyrologia, o której mógłbym napisać gruby tom. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy z mojego kalectwa, na które zwrócił mi dopiero uwagę profesor tańców. Dotychczas żyłem bowiem w błędzie, że mam nogi — jak to mówią, w porządku, a dopiero tu dowiedziałem się, że to nawet nie są wcale nogi. To jakieś kłody — mówił profesor — albo wrośnięte w ziemię słupy telegraficzne, ale nie nogi, na Boga świętego, nie nogi! A choć ja byłem zupełnie odmiennego zdania, profesor nie dał sobie nic wmówić i nie

przestał biadać, że to w najlepszym razie para konewek, a nie nogi. Mógł sobie na wszystko pozwolić, bo wziął z góry honoraryum. Prawda, że nie urodziłem się na baletmistrza, i dlatego pociliśmy się obaj rzetelnie, ale że mój profesor był trochę nerwowym, to jest rzeczą pewną. Co ten człowiek wyrabiał z mojemi nogami, to jeden Bóg widział. Nigdy mu tego nie przebaczę.

Najbardziej złościła go moja lewa noga. Twierdził, a nawet dawał mi na to słowo honoru, że to właściwie nawet nie jest lewa noga, ani prawa, tylko jakaś dzika. Doszło do tego, że zapomniałem, która prawa noga, a która lewa, tak mi się jakoś wszystko pomięszało. Skonstatował także, że nawet chodzić nie umiem, bo mając iść naprzód, idę wstecz i naodwrót. Nieraz wołał z furyą:

— Zapomnij pan do stu dyabłów, że pan masz prawą nogę i stój pan na lewej, niech się panu zdaje, że panu prawą nogę ucięli na wojnie, albo, że ją panu pies odgryzł, albo egzekutor zagrabił i sprzedał — nie wiem, jak mam mówić do pańskich nóg!

Cała wina była w tem, że szan. profesor mówił do moich nóg przeważnie po francusku, czego nie rozumieliśmy, ani ja, ani moje nogi. Te francuskie wyrażenia powtarzałem ciągle, aby je spamiętać i dlatego już mniej uważałem na to, co mam robić nogami.

— Co pan dotychczas robił nogami?! — pytał zirytowany profesor.

— To, co każdy robi — odpowiadałem zawstydzony.

— Nie, panie — wołał profesor — pan je musiałeś trzymać w jakimś płynie, od którego one panu

zesztywniały, jak dęby. Pan nie masz w nogach rozumu za centa!

Powtarzam tylko delikatniejsze obrazy honoru, o ciężkich nie wspominam nawet, bo mnie to irytuje. Poważył się nawet twierdzić, że takiemi nogami można wymordować pół pułku wojska. Ta pierwsza lekcya była zarazem ostatnią, a ja dotąd dwa razy dziennie masuję nogi i nie mogę przyjść do siebie.

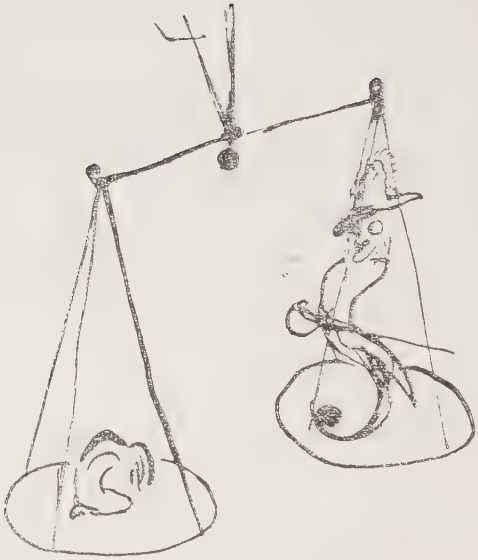

Koleżanki.

Młoda i zdolna artystka grała nową, trudną rolę w sztuce, dawno niegranej i zyskała gorący poklask całego audytoryum. Wszystkie koleżanki gratulowały jej serdecznie, ściskały ją i całowały, mając łzy w oczach,

W drugim akcie skończyła młoda artystka swoją rolę, przebrała się w strój codzienny i poszła do loży prosceniowej artystów, aby się dalej przysłuchiwać sztuce. Tu siedziały inne starsze artystki, które nie biorąc czynnego udziału w dzisiejszej premierze, przyszły na przedstawienie, aby poznać nową sztukę i zobaczyć grę artystów, zwłaszcza grę tej młodej, utalentowanej, która zapowiadała się jako *enfant terrible.*

— Ach kochana paniusiu — rzekła najstarsza w loży, niegdyś gwiazda teatralna, do wchodzącej młodej artystki — jak to dobrze, że kochana paniusia przyszła tu do nas, bo już chciałem pobiedz za kulisy i uściskać kochaną paniusię za jej dzisiejszą grę, w każdym calu znakomitą i słodką z góry na dół; gratuluję serdecznie, gratuluję, proszę mi podać buzi, bo naprawdę czuję potrzebę uściskania złociutkiej paniusi, tak pysznie, tak skończenie świetnie odegrała kochana paniusia tę rolę, no, słowem po mistrzowsku!...

— E.. — odzywa się zażenowana a uszczęśliwiona młoda artystka — dziękuję stokrotnie, ale uwa-

żam te serdeczne słowa tylko za zachętę do dalszej pracy, a nie za uznanie, na które przecież w tym stopniu jeszcze nie zasłużyłam...

— Nie, kochana paniusiu, proszę mi wierzyć, to są słowa, prosto z serca idące, ja nikomu nie jestem fałszywą, zwłaszcza, że grałem tę samą rolę przed laty i miałam gorące uznanie. Tylko jako szczera, starsza koleżanka, uważam to za swój obowiązek zwrócić kochanej paniusi uwagę na jedną drobnostkę — tylko jedną. Mianowicie w tej scenie, gdzie pani ma kwestyę z bohaterem, przydałoby się nieco więcej uczucia, ciepła, potęgi, ażeby nie wypadła rola blado, jak to dziś było — po za tem wszystko było doskonałe, świetne...

— Dziękuję pani serdecznie...

— Tak, a także z początku zaraz, gdy pani wchodzi tylko na scenę, trzeba było trochę więcej życia włożyć w to wszystko, bo inaczej to zaraz głupio wygląda. To wejście paniusi nie było najlepsze. Proszę mi tego nie brać za złe, że zwracam pani uwagę na tę drobnostkę, ale jestem starszą, więc z dobrego serca tak mówię. Bo te oklaski, jakie pani dostała, to znowu nie były takie bardzo szczere, jeśli to pani dobrze zauważyła. Kryła się w nich pewna, że tak powiem ironia, równająca się gwizdaniu...

— Co?... co?... — spytała młoda ze łzami w oczach.

— Nie, nie, nie paniusiu, proszę mnie tylko źle nie zrozumieć. Nie mówię, że gwizdali, ale mówię, że nie cała publiczność jednakowo klaskała, bo ci, którzy się rozumieją na sztuce, nie mogli przecież oklaskiwać pani za tę ostatnią scenę. Aby paniusi szczerze powiedzieć, to zamiast wyglądać w niej tragicznie, robiła kochana paniusia komiczne wrażenie. No, no, no,

to jak na pierwszy raz w tak trudnej roli da się przecież usprawiedliwić, a pani w Warszawie tej roli nie grała.

— I owszem, grałam z dużem powodzeniem.

— To muszę się dziwić, kochana paniusiu. No i była pani tak samo ubrana jak dzisiaj? A gdzież to można było w takiej marnej sukience reprezentować panią domu i żonę bogatego człowieka. Nawet fason już dawno niemodny, nie mówiąc już nic o kolorze. Moja złociutka pani, proszę mi tylko nie brać za złe, bo ja to wszystko mówię z ciepłego serca i kocham panią szczerze.

— No?

— Dobrze, że pani się tem przejmuje, bo te wskazówki przydadzą się paniusi w sam raz. I jeszcze jedno. Nie umie pani używać szminki Z jednej strony była paniusia różowa, prawie czerwona, a z drugiej strony twarz była żółta. Na to nawet publiczność zwróciła uwagę i dosłyszałam z parteru parę uszczypliwych uwag i dowcipów pod adresem pani. Tylko proszę sobie z tego nic nie robić. bo zresztą było wszystko doskonałe, wspaniałe, świetne...

Młoda artystka odpowiedziała głośnym, spazmatycznym śmiechem.

Specyalista od wierzycieli.

Odwiedziłem wczoraj znajomego, którego nigdy w domu zostać nie mogę. Wczoraj go przyłapałem. Już w drzwiach miałem mały kłopot, bo mnie z początku wpuścić nie chciał. Wziął mnie za wierzyciela, których ma podobno cały legion.

— A, to pan? — zawołał uradowany, gdy poznał mój głos — proszę, proszę bliżej.

Weszliśmy, a mój znajomy pokręcił klucz.

— Proszę siadać, czem mogę służyć, bardzo mnie cieszy, że pan nareszcie łaskaw był do mnie wstąpić.

Daje się słyszeć dzwonienie.

— Przepraszam, tylko zobaczę, kto się do mnie wybiera, bo ci ludzie człowiekowi nie dadzą słówka wymówić spokojnie.

Po tych słowach wybiegł do przedpokoju, skąd mnie doszły takie słowa mego znajomego:

— Ależ panie łaskawy, przecież panu wyraźnie mówiłem, że w tym miesiącu nie mogę...

— Ja nie mogę dłużej czekać.. — odezwał się basowy głos gościa.

— Na przyszły miesiąc z pewnością, mam się w tym tygodniu zaręczyć... Może cygarko, proszę...

— Pan mi już przyrzeka dwa lata te zaręczyny.

— Ależ ja nie mogę tak chap-łap wziąć kogo bądź bez pieniędzy. Więc do widzenia za miesiąc.

Zamknął drzwi i wrócił do mnie,

— Tak, proszę pana, od samego rana. Jeszcze jeden nie zeszedł ze schodów, już się winduje drugi do góry; a każdy natrętny..

Dzwonek.

— Ot znowu! Pardon, przepraszam, zaraz służę.

Otwiera drzwi.

— Moje uszanowanie. Dziś nie, panie, dziś absolutnie nie mogę. Może cygarko, proszę.. Przyjdź pan za tydzień, w tym tygodniu moje zaręczyny. Wiem... wiem... pan chcesz powiedzieć, że panu już dawno przyrzekam, ale ja tak znowu raz dwa nie mogę, bo ostatecznie trzeba i panu zapłacić i jeszcze mnie coś musi zostać... Pan jesteś jedyny mój wierzyciel; może cygarko? aha, pan już pali, to proszę drugie, to się przyda. A więc za tydzień.

— Każdy ma inną sprawę a człowiek sobie rady nie da ze wszystkiem To same sprawy kancelaryjne. ale mniejsza o to. Gdzie kochany pan obraca się tyle czasu, żem pana nie widział.

— Ja byłem...

Dzwonek.

— Ot znowu, pardon, za chwileczkę... służę..

Wybiega i otwiera drzwi.

— A, pan? Jakże się cieszę, że pan przychodzi... Ale teraz proszę pana mam ważnego gościa, może za dzień lub dwa, już przygotowałem, już jest wszystko...

— To może pan da?...

— Nie, nie, to tak nie można. Proszę pana zapalić cygarko, bardzo dobre, więc oczekuję pana jutro ale punktualnie o godzinie ósmej..

— A co z zaręczynami?

— Już, już, po słowie, dziś wieczór zareczam się i dostaję barówkę na łapę, dlatego pana zapraszam na jutro, ale koniecznie, z pewnością, do widzenia.

Wrócił do mnie.

— Nie dadzą człowiekowi odetchnąć, więc wracając do rzeczy, miałem szanownego pana..

Dzwonek.

— A niechże cię dunder świśnie... Pardon, na chwileczkę, zaraz służę.

Wybiegł.

— Aa... co za gość.. Panie, ale niestety dopiero jutro...

— Pan wczoraj tak samo mówił...

— Spóźnił się z winy krawcowej, która miała zrobić suknię i nie zrobiła. Jutro wieczór zaręczyny, pojutrze rano pana oczekuję z pewnością, ale z pewnością... Proszę cygarko i przepraszam, że pana nie zatrzymuję i nie proszę bliżej, bo mam ważnego gościa, tam siedzi mój przyszły teść, a pan rozumie, no, do miłego widzenia.

I znów wrócił.

— Czy może — spytałem — natrafiłem na godzinę audyencyi?

— E, nie, u mnie przez cały dzień są audyencye, ale to tylko do jutra, bo jutro rano wyjeżdżam na stałe do Warszawy i właśnie mam się spakować...

— Więc nie chcę przeszkadzać...

I znów odezwał się dzwonek.

— Ot, widzi pan, tak u mnie przez cały dzień, i jak można tu mieszkać... Pardon na chwileczkę, zaraz służę...

Jeden dzień profesora.

Pan profesor jest starym kawalerem i trochę roztargnionym, ale bardzo poczciwym człowiekiem. Wczoraj wstał rano o godzinie czwartej, co skonstatował na zegarku i wybrał się na spacer do parku. Zdziwił się tylko, że o tak wczesnej godzinie panuje tak wielki ruch w mieście, a dzieci już idą z książeczkami do szkoły.

W parku był dość długo, poczem poszedł na wykład do sali V. Nikogo tu nie zastał, więc zabrał się tymczasem do żmudnej korekty swego dzieła.

Gdy po godzinie nie było jeszcze nikogo w sali, pomyślał, że słuchacze zapomnieli o dzisiejszym wykładzie i wybrał się do domu. Drogę miał pan profesor niedobrą, bo deszcz lał, jak z cebra. Chciał otworzyć parasol, lecz nie mógł, bo to była laska.

Wstąpił tedy do najbliższej bramy, aby w sieniach deszcz przeczekać, ale zapomniawszy, w jakim celu wszedł, zaszedł za daleko i zatrzymał się dopiero na podwórzu, pod gołem niebem. Tu stał na deszczu i długu myślał nad tem, w jakim celu tutaj wszedł, na co czeka, i jak długo ma tu zostać. Podczas tego myślenia zmokł do nitki i byłby jeszcze może bardzo długo stał, gdyby go stąd nie był wypędził śmiech kucharek na galeryach.

Opuścił więc podwórze, a idąc prosto do domu, zaszedł przypadkiem znów do sali V. Tu przypomniał sobie, że wykład miał się właściwie odbyć w sali I. Wszedł tedy do sali I, lecz nikogo nie zastał. Spoglądnął na zegarek i z przerażeniem zobaczył, że jest już godzina czwarta, naturalnie popołudniu.

Postanowił więc nie iść już na obiad, bo o tej godzinie regularnie siedzi w cukierni. Zdziwił się bardzo, że w cukierni nikogo nie zastał, bo zwykle o tej godzinie zajęte są wszystkie stoliki. Przy czarnej kawie siedział dwie godziny i przeczytał w tym czasie wszystkie dzienniki. Spoglądnął na zegarek, czy już czas wracać do domu, a że to była dopiero czwarta popołudniu, więc siedział i nudził się i wyglądał przez okno na ulicę. Najwięcej dziwiło go, że dzieci chodzą z książkami do szkoły i ze szkoły, jedne bowiem szły w prawo, drugie w lewo. Siedział jeszcze godzinę, a gdy nikt nie przychodził do cukierni, spoglądnął na zegarek i zdziwił się, że dziś tak prędko załatwił się z dziennikami, bo zegarek wskazywał dopiero czwartą po południu.

Zmęczony kilkugodzinnem siedzeniem, zapłacił za kawę i poszedł do biblioteki. Przez zapomnienie zaszedł do handlu, a że pamiętał, jak dziś przemókł z powodu braku parasola, więc kupił sobie jeszcze jedną laskę. Mając już dwie laski, udał się do biblioteki. Tu siedział długo, czytał, robił notatki, korektę, wyciągi, wreszcie zdrzemnął się. Śniło mu się, że wykłada w sali V., i że już jest bardzo późno, bo ósma godzina wieczorem a on bardzo głodny. Na tę myśl zerwał się i spoglądnąwszy na zegarek, uspokoił się, bo była dopiero czwarta popołudniu. Pospieszył więc do cukierni, gdzie płonęły już lampki elektryczne. Zabrał się do dzienników, lecz wszystko to już przed-

tem czytał. Pomyślał więc, że to pewnie święto, a dzienniki są wczorajsze i poszedł do domu. W domu zastał drzwi otwarte i odrazu wlazł do łóżka, bo był przemoknięty, zmęczony i śpiący.

Około północy zbudził go jakiś pan, który przypadkiem znał pana profesora.

— Pan profesor — mówi — pewnie przez pomyłkę wszedł aż na drugie piętro do mego mieszkania, zamiast do swego na pierwszem piętrze.

— Bardzo możliwe — rzekł pan profesor — w takim razie bardzo pana przepraszam.

Spoglądnął na zegarek, a że była dopiero godzina czwarta, więc obrócił się na drugi bok i znów zasnął.

W hotelu „Pod rybą".

Nie mogłem wczoraj dostać się do mojego mieszkania, bo zamknął się w niem mój współlokator Józek i na moje dzwonienie, pukanie i prośby był głuchy, jak lwowski filantrop.

Nie zostawało mi więc nic innego, jak pójść na nocleg do hotelu. Chcąc przytem połączyć piękne z pożytecznem, wlazłem umyślnie do trzeciorzędnego hotelu, ażeby poznać i tę gałąź naszego przemysłu.

Zauważyłem odrazu, że przychodzą tu same małżeństwa; ja jeden przyszedłem jako kawaler, co mocno zdziwiło kelnera.

— Proszę o czysty pokój z czystą pościelą — rzekłem do kelnera — a zapłacę panu chętnie więcej.

— Czy pan dobrodziej sam? — spytał kelner, przymrużając chytrze jedno oko.

— Sam!

— Ou!... Nu, to ja panu dam nr. 1., będzie czysty, jak złoto!

Zaprowadził mnie do jakiegoś zatęchłego pokoju, zrobił światło i zabrał pomiętą pościel.

W parę minut później leżałem już w łóżku.

— Więcej pan dobrodziej nic nie potrzebuje? — spytał kelner.

— Nic.

— Takoj całkiem nic?

— Nic, nic, nic!

— Mnie to bardzo dziwuje; padam do nóg, dobranoc.. Ale jakby pan coś potrzebował, to proszę tylko zadzwonić dwa razy, to ja już sam będę wiedział... Przepraszam... muszę iść, bo ktoś wszedł do drugiego numeru.

Wyszedł, a równocześnie usłyszałem przez ścianę następujący dyalog.

— Co kosztuje ten pokój? — spytał jakiś basowy głos.

— Jak na godzinę — mówi kelner — to guldena, a jak na całą noc, to ośm szóstek.

Basowego gościa wcale nie zdziwiła ta osobliwa arytmetyka i zapłacił z góry za pokój. W hotelu działy się dziwne rzeczy. Ludzie chodzili po korytarzu, kłócili się, szeptali, gwizdali.

W pokoju tuż nad moim, był jakiś bal, albo bankiet. Towarzystwo mieszane, złożone z kilku osób, bawiło się tak głośno, że słysząc każde niemal słowo, w żaden sposób nie mogłem zasnąć. Jakiś gość grał na ręcznej harmonice, inni śpiewali, damy śmiały się głośno.

— No pij Mańka, ty taka durna że strach!

— Fe, to jakieś śmierdzące piwo — mówi dama — każ postawić miód, albo szprycera.

Odpowiedziano jej chórem śmiechu i zaczęto uroczyście śpiewać „Połamane konie, połamany wóz“, po czem poznałem, że wszyscy już są pijani.

W pokoju przylegającym do mojego numeru jakiś gość ciągle gadał ze snu i to raz męzkim, raz damskim głosem. Może jakiś brzuchomowca. Z innego pokoju szły na kurytarz ciągłe przekleństwa, których autorem był jakiś zachrypnięty żyd z prowincyi.

— Niech was choroba weźmi — wołał — z takimi hotelami... Kelner! Daj mi inną pościel, bo tu tyli pchły, że już koło nich niema miejsca dla mnie, ja nie mogę spać bo oni na mnie polują i oni nie mogą spać. bo ja na nich poluję. Kelner!... Psiakrew. dał mi złodziej umyślnie taki pokój, gdzie dzwonek jest zepsuty!...

Dalszych narzekań nie słyszałem, bo do mojego pokoju wszedł kelner trochę uśmiechnięty.

— Czy pan dobrodziej może dzwonił?

— Nie.

— Bo tu u nas są wszędzie zepsute dzwonki, to ja muszę od czasu do czasu wszystkie pokoje obchodzić i pytać się, czy gość nie dzwonił... Nu, to przepraszam, ale jak pan będzie coś potrzebował, to...

— Dobrze, dobrze, ja zadzwonię, a teraz idź pan tam do tego żyda, bo jego pchły zjedzą, to panu nie będzie miał kto zapłacić za pokój..

— O, u nas zawsze płaci się z góry, bo goście czasem w nocy uciekają. To tylko pan dobrodziej...

— A czemu tu na górze tak hałasują?

— Tam jest jedna Mańka, to ona dziś ma imieniny, i ma trzech narzeczonych i jednego, co z nim żyje na wiarę, to jego dziś wypuścili, bo siedział dwa miesiące, i oni sobie zrobili taki bal... durne chłopy... Może pan chciał zobaczyć tę Mańkę?

— Nie, nie, dziękuję.. Ale ja tu spać nie mogę, chcę panu zapłacić i idę do innego hotelu.

Kelner poskrobał się w głowę.

— Ja zaraz wiedział, że pan dobrodziej nie będzie tu spał, bo u nas nie jest hotel do spania. Ja tu jestem dziesięć lat, a nie pamiętam aby tu jakiś gość spał. Do nas właśnie przychodzą takie gości,

co nie chcą spać. Ale chwała Bogu gości mamy zawsze dość... ni można si skarżyć... A same tutejsze.

Zacząłem się zbierać. Z kurytarza wpadało blade światełko, więc kazałem Hermanowi zaświecić.

— Widzi pan dobrodziej — rzekł kelner — u Żorza, to taka świca się liczy 20 centów, a u nas nic, u nas się dodaje za darmo...

— U Żorza jest elektryka...

— Ale nim była elektryka... przepraszam na chwileczkę, bo mnie się zdaje, że jakiś gość dzwoni...

— Przecież mówiłeś pan, że dzwonki nie funkcyonują...

— Nu, nu, ale ja mam takie przeczucie, że właśnie teraz dzwoni; jak się ma praktykę...

Wybiegł, a po chwili wrócił.

— Mnie się tylko zdawało. Taki gość, jak nie wie, czy nasze dzwonki są zepsute, to on ciska i ciska i ciska w ten guzik i bardzo się gniewa, że nikt nie przychodzi. Ale daleko lepiej, jak tych dzwonków niema. Czasem jest taki gość, co cały czas dzwoni, nic nie chce, ino dzwoni, a jak przyjść do niego, to mówi, żeby przyjść potem, bo on zapomniał, co chciał, albo, że się dopiero decyduje. A nasz gospodarz tego bardzo nie lubi. On lubi, aby gość był krótko, nie zawracał głowy, zapłacił i padam do nóg.

— A jeżeli przyjeżdża jakiś gość na ośm dni?

— To mu się gada, że wszystkie pokoje zajęte, choćby żaden nie był zajęty, bo nasz gospodarz mówi, że on woli ośm gości na jeden dzień, jak jednego gościa na ośm dni. I to takoj prawda. Taki długi gość ma pakunki i różne interesa i długo się targuje i zawraca głowę, a na końcu pojedzie, to nawet tryngeldu nie da. Jakby nie policya, toby my ich wcale

nie wpuszczali, ale to się musi, bo to przecież hotel... przepraszam, ale pan dobrodziej będzie się myć?

— Nie, nie.

— Takoj jabym nie radził, tu się myją rozmaite ludzie i tu nie jest bardzo czysto, ja już stąd odchodzę, to ja mogę gadać prawdę.

— A dokąd pan odchodzi?

— Ja sam otwieram hotel, ale mój będzie inny, i dla lepszych gości. Ja jeszcze nie otworzył hotel, a już mam obiecanych może trzydzieści gości.

— A co tam za hałas?

— To te narzeczony od tej Mańki już się upili i zaczynają się jeden drugiego wyrzucać. Za kwadrans nie będzie już nikogo, ich nie trzeba wyrzucać, oni się sami wyrzucają.

— A kto płaci za pokój?

— Oni płacą dopiero na drugi raz, bo teraz są pijani, to nie wolno się u nich upominać, bo zaraz robią awantury, a mój gospodarz tego nie lubi. Ale za to jak przyjdą na drugą sobotę, to im się gada, że dostaną pokój, jak zapłacą za tamten raz i oni płacą, bo jeszcze nie mają w czubku. Oni mają pieniądze, ja nie wiem skąd, ale mają.

— A ten żyd z prowincyi już zasnął?

— Nie, jemu pchły przeszkadzali, to kazał sobie zaświcać i coś rachuje na papierze, on tak będzie do rana rachował. To jest właśnie taki gość, co go się musi przyjąć, aby był taki gość także, taki długi gość, ale najlepszy to jest krótki gość, bo on nie grymasuje, nie dzwoni, nie zawadza i dobrze płaci...

— Ileż ja mam zapłacić?

— Trzy korony, bo to jest pokój z dwoma łóżkami.

— Masz pan trzy korony, ale nie żądałem pokoju o dwóch łóżkach..

— U nas już tak jest: jak przychodzą dwie osoby, to dostaną pokój z jednem łóżkiem, a jak przychodzi jedna osoba, to mu się daje pokój z dwoma łóżkami. Czasem gość nie może w nocy zasnąć na jednem łóżku, to idzie spać na drugiem. Ale i na drugiem jest to samo, co na pierwszem, czasem nawet więcej.. Pan dobrodziej już ubrany?.. Dziękuję... padam do nóg... Proszę na drugi raz, ale już do siebie.

Ostatnie dni słomianego wdowca.

Jeszcze przed wyjazdem żony na lato wymówiłem sobie u niej, aby mi o swoim powrocie do domu napisała, na dwa lub trzy dni naprzód. Nie lubię niespodzianek, bo taki niespodziany przyjazd mógłby niekorzystnie podziałać na moje serce i nerwy.

Jakoż przed kilku dniami otrzymałem telegram: „Przyjeżdżam we środę, godzina 8. rano.“ Miałem tylko jeszcze trzy dni złotej wolności, więc trzeba było pić z tego kielicha słodyczy tyle, abym miał dość na cały rok. Nie wiedziałem tylko, od czego zacząć to wielkie zakończenie i straciłem pół dnia na układaniu planu. Dopiero około wieczora zjawił się Józek, a gdym mu przedstawił mój kłopot, powiedział:

— Wszystkie plany są dyabła warte. To wszystko musi iść bez planu, a plan sam się ułoży. Jakże ty dziś możesz wiedzieć, kiedy dostaniesz zgagę, a kiedy pragnienie, kiedy będziesz śpiący, a kiedy zmęczony. Chodź tylko ze mną i zabierz ze sobą gotówkę. Kiedy przyjeżdża żona?

— Już we środę rano.

— O, to źle, to trzeba się śpieszyć. Nie traćmy więc czasu, chodź! Tu każda chwila droga...

— Jeszcze tylko list napiszę do żony.

— Bój się Boga lekkomyślny człowiecze, woła oburzony Józek, czyś ty zwaryował, teraz tracić czas na pisanie listów. Powiesz jej ustnie o wszystkiem, a teraz chodź.

Nasunął mi kapelusz na uszy i wyszliśmy do miasta. Zaczęliśmy w restauracyi Bayera, ale nie umiałbym powiedzieć, w jakim porządku obchodziliśmy następne lokale. Pamiętam tylko słabo, żeśmy byli w bardzo wielu lokalach, w jakiejś nocnej kawiarni jednej i drugiej, potem w jakiejś takiej kawiarni, gdzie wcale kawy nie było, jeździliśmy fiakrami, byliśmy w nocy w parku, miałem na głowie jakiś damski kapelusz z bardzo wielkiem piórem, kąpałem się w jakiejś wannie, gdzieś biłem się z oficerami, jakiejś pannie z damskiej kapeli roztrzaskał Józek bas, a innej klarnet, piłem bruderszaft z jakimś agentem policyi, z artystką z Colosseum tańczyłem walca na bilardzie, sprzedałem komuś za bezcen zegarek i papierośnicę, całowałem się z jakimś kelnerem, w jakimś szynku jadłem kwargle i ogórki, wyzwałem na szable jakiegoś dorożkarza, zaręczyłem się z jakąś kelnerką i zamieniliśmy pierścionki, przyczem Józek był swatem, pełną flaszką rozbiłem jakiemuś gospodarzowi głowę, na policyi składałem jakiś protokół, aresztowałem jakiegoś policyanta, rozmawiałem dłuższy czas ze skrzynką pocztową, a potem z latarnią, a wszędzie był Józek, on komenderował, on prowadził, on kazał podawać i on kazał mi płacić.

Nie wiem, w jaki sposób dostałem się do domu.

Wczoraj, tj. we wtorek rano, ktoś mnie zbudził. Otworzyłem oczy. To była moja żona.

— Jak się masz, Julka..

— Co za Julka?... Nie poznajesz mnie? — woła zdziwiona żona

— Ależ poznaję, tylko jestem zaspany, droga Julo...

— Znowu Julo?

— Te... to... wiesz... sen... twardo spałem, no, dajże buzi, ale ty miałaś jutro przyjechać.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, moja słodka Juluń..

— Znowu! Co to za Jula??

— E, to głupstwo, zaspany jestem. No mów, odpowiadaj, co słychać, moja złota, jakże ja się cieszę, ty... ty... moja słodka Jul...

— Co to ma znaczyć?

Byłbym sobie chętnie cały język odgryzł. Ta Jula nie złaziła mi z języka i zdradzałem się na każdym kroku.

— No? — spytała osto żona. — Nie pocałuję, aż mi wyjaśnisz, co za Jula chodzi ci po głowie!...

— Ale jaka ty podejrzliwa — powiadam — więc powiem ci prawdę. Śniło mi się, że my oboje strasznie zakochani siedzimy w cieniu i gruchamy. Ja jestem Romeo a ty Julia, no i teraz wyrwałaś mnie ze snu, a ja jeszcze ciągle jestem pod wrażeniem...

— Ach mój drogi, kochany mężu — powiada żona, obejmując mnie — nie darmo ja tak bardzo tęskniłam za moim poczciwym mężusiem...

— No widzisz — powiadam i długo, długo całowaliśmy się na przywitanie.

W teatrze.

Byłem wczoraj w teatrze. — Siedziałem w trzynastym rzędzie. Nie jestem zabobonny, ale odrazu nie podobało mi się, gdy mi panna Julia (w kasie teatralnej) powiedziała, że są jeszcze bilety w trzynastym rzędzie. Miałem jakieś niedobre przeczucie, ale wszedłem i zająłem swoje miejsce w trzynastym rzędzie. W teatrze było pełno.

Podniesiono kurtynę. Właśnie w tej chwili zaczęła się schodzić publiczność. Same rodziny. Jakiś pan i dwie panie, w chwilę później jakiś pan i trzy panie, a zaraz potem jakaś pani i dwóch panów. Spacerują po sali i pochyleni szukają swoich miejsc.

— Tu tak ciemno — woła jeden z szukających — że absolutnie miejsca swego znaleźć nie mogę.

— Także porządek — mówi jakaś pani — kręcąc się na miejscu i starając się odgadnąć, gdzie jej fotel.

Na szczęście nadszedł bileter i wskazał im miejsce. Cały rząd gości, gdzie i ja siedziałem, wstaje, ażeby wpuścić spóźnionych. Lecz w tej chwili znowu wchodzi jakaś para i szuka swego miejsca.

— Gdzie bileter? — woła zirytowany — co to za porządki są? Widzisz żono, mówiłem ci, że trzeba się śpieszyć.

— Już na mnie składasz — mówi zasapana dama — przecież nie mogłam pójść nieubrana.

Tymczasem wchodzą nowi goście i szukają z wielkiem zakłopotaniem. Bileter zjawia się i wybawia wszystkich z kłopotu, wskazując im miejsca. Znowu wstają całe rzędy gości i ja wstaję, a po chwili już siedzimy wszyscy. Zauważyłem tylko, że jakaś pani w przejściu rozdeptała mi nowy kapelusz i wytrąciła mi z rąk lornetkę. Ale nareszcie jest już jako tako cicho i tylko spóźnieni goście głośno sapią, bo się podobno spieszyli do teatru. Dowodem zresztą pośpiechu jest i to, że niektóre panie teraz dopiero kończą tualetę, zapinając rękawiczki, poprawiając fryzurę i inne rzeczy, które potrzebują naprawy.

Pierwszy akt jest już w połowie, a ja dotąd nic nie słyszałem, ani rozumiałem. Zaczynam uważać i słuchać. Przedemną siedzi jakiś pan z głową. Niejeden człowiek ma głowę, ale takiej głowy jeszcze nie widziałem. Nietylko bardzo wielka, ale i bardzo ruchliwa. Z początku myślałem, że to damski kapelusz. Ile razy chcę patrzeć na scenę, widzę tylko jego głowę. Odchylam się na prawo, azeby z po za głowy mego sąsiada coś zobaczyć, ale w tej chwili mój sasiad kieruje swoją nerwową głowę na prawo. Wychylam się na lewo, głowa mojego sąsiada idzie na lewo. Przez cały prawie pierwszy akt widziałem tylko jego głowę.

Byłem tak poirytowany, że chwilami miałem gust odstrzelić mu tę głowę, albo odgryźć. Ludzie z takiemi głowami nie powinni chodzić do teatru. Z ciągłych ruchów, aby sobie znaleźć jakąś wolną szparę i módz zajrzeć na scenę, spociłem się. Ja kręciłem się na miejscu, a sąsiad mój jakby naumyślnie urządził sobie z głowy młynek czy wiatrak. W jednym czasie tak szybko kręcił głową, że obawiałem się, aby

mu się nie odkręciła i nie odpadła, z czego w tym wypadku byłbym swoją drogą zadowolony. Jeżeli nie straciłem cierpliwości i równowagi, to zawdzięczam ty tylko tej okoliczności, że tymczasem weszło do teatru znowu wiele spóźnionych gości, którzy zajęli moją uwagę.

— Jak tu ciemno, Boże, jak tu ciemno! — wołały panie.

— Bileter! — wołają niecierpliwi panowie.

Jakaś para sunie aż do pierwszych rzędów i potem idąc wstecz rząd za rzędem i szukając swoich numerów wraca aż do czternastego.

Nareszcie wszystko już siedzi. Korzystam z chwilowego uspokojenia się głowy mojego sąsiada i zaczynam uważać. Lecz wtem mój sąsiad wstaje. Pociemniało mi w oczach.

— Proszę siadać, proszę pana siadać! — wołam oburzony.

— Dziękuję — mówi sąsiad z wielką głową — nie jestem wcale zmęczony.

Wstał dlatego, że kurtyna była już spuszczona. Z pierwszego aktu nie słyszałem ani słowa.

MAGDA.

Magda.

I.

Mam od trzech lat sługę, która nazywa się Magda. Jestto żywa pamiątka po mojej teściowej, która nam przysłała Magdę w dzień imienin mojej żony, gdy w jednym miesiącu czternaście sług przesunęło się przez naszą kuchnię, nie zostawiając po sobie śladu wdzięczności, owszem, często zabierając, wbrew naszemu życzeniu, mniejsze lub większe upominki. Magdę przysłano nam ze wsi, więc u nas zaczęła się cywilizować. Od trzech lat pracujemy z żoną w pocie czoła nad tem dziełem cywilizacyjnem, a skutki naszej pracy, choć już dostrzegalne, są jednak, prawdę mówiąc, nie wielkie.

W pierwszym roku przechodziliśmy taką małą kuchenną tragedyę. Magda, podając talerze do stołu, ani razu nie zapomniała poślizgnąć się na gładkiej posadzce, przyczem zdarzały się następujące ewentualności; albo naprzód wypuszczała z rąk talerze, a potem kładła się sama, kąpiąc się w rosole i tłuczonej porcelanie, albo naprzód sama padała całym ciężarem, a potem pełne talerze rozbijała na własnej, co prawda, twardej głowie. Raz nawet przy takiej sposobności cisnęła pełny talerz tak silnie, że przeleciał jak błyskawica, przez cały pokoj, wybił szybę i wypadł na ulicę. Szczęściem, nie zabił nikogo, a tylko ciężko uszkodził ścianę naprzeciwległej kamienicy.

„Chciałam go zatrzymać — tłumaczyła się Magda — ale już było zapóźno“. Tłumaczyła się zresztą przy każdej sposobności, przyrzekała, że to się już nigdy nie powtórzy, a główną winę przypisywała gładkiej podłodze. Twierdziła, że po grudach chodzi się jakoś gładziej. Nie wolno przy tem przemilczeć, że Magda, co do objętości i rozciągłości, zaliczyć się może do nadludzi.

Jest też odpowiednio silną, co nie zawsze wychodzi na dobre. Ile razy Magda „zatyka komin“, cały piec okazuje gotowość ustąpienia z miejsca. Przy czyszczeniu okien nigdy nie obejdzie się bez wysadzenia kilku szyb, które — jak utrzymuje Magda — pękają, bo są jakieś bardzo kruche. Jeszcze bardziej kruchem wydaje się jej szkiełko przy lampie, którego nigdy nie może odrazu założyć należycie, a po kilku bezskutecznych zamachach, naciska zbyt silnie i dusi na proch. Odsuwając rynkę z mlekiem, aby nie wykipiało, robiła to tak energicznie, że rynka zamiast na brzegu kuchni, zatrzymywała się dopiero na podłodze. To były czyny typowe, powtarzające się codziennie. O spisaniu wszystkich niema mowy. Ona sama ich nie pamięta. To też w pierwszym roku działalności Magdy, szklarz, druciarz i subjekt ze składu porcelany, byli u nas stałymi gośćmi codziennie, i mieli dużo do czynienia.

W drugim roku występują już pewne oznaki kultury. Potyka się i ślizga rzadziej, talerza nawet i w tym wypadku z rąk już nie wypuszcza, a co najwyżej rozlewa część zupy, oswoiła się z kruchością szyb i szkiełek do lampy, a tylko jeszcze nadzwyczajna jej siła powoduje niektóre katastrofy.

W tym czasie rozszarpała mi parę ubrań przy ich czyszczeniu, połamała dwa cylindry, rozdeptała

rosyjski samowar, poobrywała wszystkie rzeźby przy meblach, a raz, przechodząc nieostrożnie obok szafy, trąciła ją mimowoli łokciem, skutkiem czego szafa zwaliła się, druzgocąc starożytne, cenne biurko, pamiątkę po dziadku, który umarł na influencę.

Ale Magda przestaje być fatalistką. Jest w tym czasie raczej pozytywistką. Równocześnie coraz bardziej zwraca uwagę na swoją zewnętrzną wartość, coraz częściej staje przed lustrem, swobodniej rozwiązuje język, słowem: staje się kobietą. Mimo to jest stanowczo więcej filozofką, niż poetką a zatrzymując swój indywidualny światopogląd, kieruje się nim przy każdej sposobności.

II.

Magda ekspedyuje pocztę.

Wczoraj wieczorem wróciłem do domu o godz. pół do ósmej i znalazłem na biurku depeszę od jednego z pism krakowskich: „Przysłać fejleton na 200 wierszy *express*, manuskrypt musi być jutro rano w Krakowie“. Czas był wprawdzie zbyt krótki, aby do ostatniej poczty, t. j. do godz. 9. obmyśleć i napisać fejleton, ale za każdą cenę postanowiłem wybawić redakcyę krakowską z kłopotu.

— Magda! — zawołałem na naszą służącą — podaj prędko lampę na biurko, a gdyby kto przyszedł, to niema mnie w domu.

W kilka minut później już pisałem. Ale zaledwie napisałem tytuł i pierwszych kilka wierszy, gdy przyszła Magda

— Proszę pana...

— Wynoś mi się, niemam teraz czasu.

— Ale pan gospodarz przyszedł, a ja już gadałam, że pan w domu.

Jak nie wpuścić gospodarza? Gotów mi podwyższyć czynsz, albo wymówić mieszkanie.

— Proś!...

Gospodarz wchodzi, wita się, siada. Przeprasza mnie bardzo, że tak rzadko się pokazuje, ale zawsze jest bardzo zajęty, a dziś korzysta z wolnego czasu, aby mię odwiedzić. Wypytuje się szczegółowo o zdrowie, powodzenie i zamiary moje i całej mojej rodziny, pyta mnie, czy nie znam jakiegoś pewnego środka przeciw katarowi i wreszcie zaczyna mi opowiadać, długą wprawdzie — jak sam mówił, ale bardzo zajmującą historyę, jak to on przed kilkunastu a może kilkudziesięciu laty miał katar, jak mu ten katar

strasznie dokuczał i jak on z tego powodu musiał wyjechać aż do Meranu. Już nawet zaczął opowiadać o kolejach tej podróży, o okrucieństwach konduktorów i pasażerów, gdy sam Pan Bóg widząc moje męki, ulitował się nade mną. Przyszli zawołać pana gospodarza do domu, bo pani gospodyni zemdlała.

— Przepraszam stokrotnie — tłumaczył się pan gospodarz. — Chętniebym został ale kochany pan sam widzi, że muszę iść, bo tam obowiązek małżeński, więc przepraszam..,

— Ależ proszę, bardzo proszę, i owszem, taki obowiązek...

Odprowadziłem go do sieni.

— Magdo! — wrzeszczę powróciwszy do kuchni — słuchaj Magdo, ja ciebie dziś zastrzelę, zasztyletuję, powieszę, utopię i przez okno wyrzucę, jeśli ty mi jeszcze kogoś dzisiaj wpuścisz. Niema mnie absolutnie w domu dla nikogo, ro-zu-miesz?!

— Rozumiem — odpowiada Magda.

Wróciłem do biurka i zabrałem się znowu do fejletonu. Ale już nie szło. Zapomniałem, jaki ma być ciąg dalszy i zakończenie. Cały pomysł dyabli wzięli. Zadzwoniłem na Magdę.

— Pamiętaj, zaczynam przez ciebie na nowo, a ten papier wrzuć do pieca.

Po tych słowach podałem jej zaczęty rękopis, a sam zacząłem pisać co innego. Jeszcze tylko pół godziny czasu zostawało do poczty, więc ze zdwojoną energią trzeba było pisać. Napisałem kilkanaście wierszy; wchodzi Magda.

— Wynoś mi się!

Rzuciłem się tak dziko, że przewróciłem kałamarz i nowy rękopis zatonął w atramencie. Z kuchni dolatywały mnie jakieś hałasy. Dzwonię.

— Magda, Magda, Magda, co ty masz na karku? Powycieraj prędko ten atrament, papier wrzuć do pieca. To wszystko przez ciebie! A niech tam będzie cicho w kuchni.

Sam zaczynam w pocie czoła po raz trzeci nieszczęsny fejleton. Tym razem szło mi już gładziej. Wprawdzie w kuchni hałasy nie ustawały, pod sam koniec fejletonu musiałem dzwonić na Magdę, aby dolała nafty do gasnącej lampy, wprawdzie Magda jeszcze dwa razy chciała mi zaanonsować gości i wyrzuciłem ją z pokoju, ale na pięć minut przed ostatnią pocztą byłem gotów. Nalepiłem na kopercie pięć marek pocztowych, zaadresowałem do krakowskiej redakcyi i wypisałem wielkiemi literami „express“. Wycieńczony, padłem na fotel i zadzwoniłem znów na Magdę.

— Skocz szybko, wrzuć ten list, ale raz dwa!

Magda wzięła list i znikła. Odsapnąłem. Cieszyłem się, a nawet dumny byłem, że mi się udało na czas skończyć.

Magda znów wchodzi do pokoju.

— Proszę pana, pan już nie pisze?

— Nie. A czy wrzuciłaś list?

— Wrzuciłam, ale prawda, że już nikt nie przeszkadzał? O, bo mnie wystarczy raz powiedzieć. Ja mam — jak pan mówi — głowę na karku. Wyrzuciłam chłopca od gazety, nie wpuściłam tego grubego pana redaktora, ani ciotki pani, a najwięcej kłopotu miałam ze starą panią, która nijak nie chciała się ustąpić, aż takoj musiałam ją gwałtem wypchnąć za drzwi.

Złapałem się za głowę.

— Gwałtu! Jak ja jej to teraz wytłumaczę. Będzie piekło!

— A no — mówi Magda — jak nikt, to nikt. A ten chłopak od gazety tak się na schodach potłukł i rozgniewał, że tam na dole czeka na mnie i chce mnie obić, gdybym się na dole pokazała.

— A szłaś przecież z listem i nic ci nie zrobił?

— Ja nie chodziłam nigdzie!

— Przecież do skrzynki pocztowej..

— Oj, oj, oj! — zastękała Magda i wybiegła do kuchni.

Pędzę za nią do kuchni, a Magda siedzi i zagląda do kuchenki.

— Oho! — mówi — już z niego figa.

— Gwałtu! cóżeś ty zrobiła, ośla głowo.

— Myślałam, że i ten list ma iść do pieca.

III.

Magda jedzie do parku.

Już dawno przyrzekamy Magdzie, że ją zabierzemy ze sobą do stryjskiego parku. Tej niedzieli mieliśmy spełnić przyrzeczenie. W sobotę wieczór Magda wykąpała się, co czyni zwyczajnie, gdy ma przed sobą jakieś niezwykłe przedsięwzięcie. W niedzielę po południu wyszliśmy z domu. Do parku jechaliśmy tramwajem. Magda, która siedziała w przedziale drugiej klasy, po drodze wyrzuciła jakiegoś pasażera z tramwaju. Coś tam zajść musiało, lecz nie chciałem i nie mogłem zbadać sprawy, gdyż niechętnie przyznawałem się do tego, że jestem chlebodawcą bohaterki z II. klasy. Byłem kontent, że się jakoś uspokoiło. Lecz spokój nie trwał długo. Pomimo gwaru w przedziale, dał się słyszeć z II. klasy podniesiony głos Magdy. Żona mrugnęła na mnie, doradzając cicho, byśmy czemprędzej wynieśli się z wagonu, zanim wybuchnie nowy skandal. Na najbliższym przystanku przerwaliśmy podróż. Chciałem wybawić naszą Magdę, ale o tem ani mowy nie było. Przedział był tak przepełniony pasażerami, że naszej, choć tak okazałej Magdusi, nawet nie było widać.

— Niechże już ona jedzie dalej, a my pójdziemy piechotą — radziła żona.

— A cóż się z nią tam stanie?

— Zaczeka na nas.

Tymczasem wóz ruszył. Byłem zmęczony i nie chciałem iść piechotą. Postanowiliśmy zaczekać na następny wóz. W każdym razie rad byłem, że jedziemy osobno, bo z naszą Magdą nigdy nie można być pewnym, jak się podróż skończy. Nadjechał wóz i na

rogu ulicy Zielonej weszliśmy do tramwaju. Byłem niespokojny o Magdę.

— Żeby tylko gdzieś bieda nie polazła sama do parku, bo potem jej nie znajdziemy.

— To nie — powiada żona — ona bez nas nie pójdzie na krok.

— Już jestem naprawdę niespokojny i mam jakieś niedobre przeczucie.

— Ty zawsze masz jakieś przeczucie, cóż jej się wreszcie stać może?

Zamilkłem. Na szczęście zbliżamy się już do parku.

Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy w tramwaju, wracającym do miasta, a krzyżującym się z naszym, spostrzegłem — Magdę.

— Patrz, patrz — mówię niecierpliwie — Magda już wraca z parku, a niechże ją kaczka kopnie!

Pukam gwałtownie w szybę. Magda oglądnęła się, przyjemnie zdziwiona. Pokazuję jej na migi, że jest głupią gęsią. Ona potwierdza, że zrozumiała.

Ale już dojeżdżamy do końcowej stacyi. I co teraz robić?

Mamy przy sobie klucz od mieszkania, więc Magda nie dostanie się do domu, a także nie można jej pozwolić czekać całe popołudnie pod kamienicą. Niema innej rady, jak wracać tymsamym wozem do miasta. Jesteśmy oboje w szubienicznym humorze i nie mówimy nic do siebie. Zbliżamy się do rogu ul. Batorego, patrzę właśnie na krzyżujący się wóz tramwajowy, a w nim siedzi Magda i najspokojniej sunie znowu po parku.

Ze złości — wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

— Więc wracajmy jeszcze raz do parku — mówi żona — skoro się tyle najechała, niech już i park zobaczy...

I równocześnie, gdy na szczęście Magda nas zobaczyła, każemy jej — naturalnie na migi — zatrzymać się w parku i czekać tam na nas. W parę minut później przesiadamy do innego wozu i jedziemy za Magdą do parku. Ale — mocny Boże! — zaledwie ujechaliśmy kilkaset kroków — spostrzegamy już Magdę, wracającą znowu do miasta. Włosy wstały mi na głowie.

— Wściekła się kobieta, czy co jej się stało! — pomstowałem, a sam byłem blizki wściekłości. Wyskoczyłem z wozu, zostawiając żonę i pognałem, jak waryat, za tramwajem, uwożącym Magdę. Dopędziłem go na rogu ulicy Zielonej i wyciągnąłem Magdę gwałtem.

— Czegoś ty się dziś tak rozjechała do stu piorunów, przecież kazałem ci zaczekać w parku!

— A ja rozumiałam, że mi państwo każą wracać.

— Idyotka! — zakonkludowałem, nie mogąc w złości nic dalej mówić.

Nadeszła i żona. Pierwsza złość rychło przeszła, i już po drodze do domu śmialiśmy się serdecznie, zwłaszcza, gdy nam Magda jęła opowiadać, jak to ona wyrzuciła tego pasażera z tramwaju, bo jej hopnął na kolana, jak ją potem faceci w tramwaju naciągali, i jak ona ich za to nabierała.

Ale w parku nie byliśmy tej niedzieli.

Waryatka.

Widziałem ją pierwszy raz na ulicy pryncypalnej. Wyglądała strasznie. W długim płaszczu, bosa, na głowie jakiś słomkowy kapelusz — pod koniec zimy. Ludzie patrzyli na nią. Jedni kiwali głowami, drudzy uśmiechali się i szli dalej. Ona posuwała się powoli, patrząc przed siebie i nie zwracając uwagi na nikogo. Chciałem do niej przystąpić, lecz nie mogłem tego uczynić na pryncypalnej ulicy. Stanąłem więc na uboczu i patrzyłem za nią. Gdy skręciła w stronę Wałów hetmańskich, poszedłem za nią. Usiadła na ławeczce. Wtedy przystąpiłem i usiadłem obok niej. Nie wiedziałem, jak nawiązać rozmowę.

— Pani pewnie zmęczona? — zapytałem.

Nie zwracała na mnie uwagi.

— Pani sobie mnie nie przypomina?

Ani na mnie nie spojrzała.

— Mam pani coś ważnego do powiedzenia.

Teraz dopiero odezwała się:

— Na co pan rozmawiasz z waryatką?

— Nie rozumiem pani. Dlaczego siebie nazywasz waryatką? — mówiłem zdziwiony i zakłopotany.

— Bo gdy ludzie mówią, że człowiek jest waryatem, to trzeba im wierzyć.

— A któż mówił, że pani...

— Dlaczego to pana zaciekawia, czy pan jesteś może dramaturgiem i zbierasz materyały do tragedyi?

— Tak i nie.

— A więc jeżeli tak, to zrób pan ze mnie bohaterkę, jeśli nie, to nie psuj pan sobie humoru i idź pan swoją drogą.

— Wybieram pierwsze.

— Dobrze, słuchaj pan. Jestem waryatką, jak pan widzisz.

— Nie widzę.

— Komplementy już nie dla mnie. Widzisz pan młodą a zniszczoną twarz — widzisz pan mój strój i moją minę...

— Ale słyszę słowa...

— To nic. Otóż jestem waryatką, ale nie urodziłam się nią Był czas, kiedy byłam zdrową na umyśle. Byłam ubogą panną, miałam posadę — ludzie szanowali mnie i było mi dobrze. W tym czasie poznałam przystojnego młodzieńca, bogatego, z dobrego domu...

— I poślubiłaś go pani.

— Nie poszło to tak łatwo. On był gotów mnie poślubić, ale jego rodzina sprzeciwiała się temu. Długo trwało, zanim dopięłam szczęścia... Pobraliśmy się. O nasze pożycie nie pytaj pan. Mogłabym tylko wyciągnąć z mego doświadczenia wniosek dla innych dziewcząt, by nie wychodziły za mąż z miłości...

— Dziwny wniosek.

— A jednak zdrowy. Ale ciągnę dalej, przeskakując akt drugi. W akcie trzecim podnosi się kurtyna, a bohaterka jest już waryatką. Nie wolno

pytać — dlaczego... Autor tak chce — więc publiczność ogląda waryatkę...

— Bardzo to smutne a jednak dziwne, lecz nie chcę pytać o szczegóły, skoro je pani sama pomijasz.

— Lepiej nie pytać. Więc waryatka zaczyna pić i pije niedługo. Nerwy i tak już potargane rozluźniły się, czy może na odwrót naprężyły się do reszty.

I pewnego razu waryatka, nie wyglądająca jeszcze wcale na waryatkę, pognała na miasto, wstąpiła do pierwszej lepszej kamienicy przy ul. Kaźmierzowskiej, pobiegła na drugie piętro i stamtąd zeszła już nie po schodach. Runęła na bruk podwórza i nie zabiła się. Ot, jak waryatka. Połamała tylko obie nogi. Pan się już krzywi. Mózg wstrząsnął się, straciła przytomność, ale nie umarła. Zabrano ją do szpitala...

— Mąż płakał. Przychodził od czasu do czasu do szpitala, gdzie waryatka przeleżała dziewięć miesięcy. Nareszcie wydalono mnie stamtąd. Wypuszczono na wolność, na domową kuracyę dalszą, bo tam zawadzałam. Istotnie nic więcej ze mną tam zrobić nie mogli. W domu wyleczyłam się do reszty. Ale byłam jeszcze waryatką. Chciałam wyjść na ulicę, lecz zamykano mi suknie. Brałam więc, co było pod ręką i tak wychodzę...

— Wszystko jakieś smutne i tajemnicze.

— Nie pytaj pan więcej. Nie wszystko da się powiedzieć. Ja teraz milczę. Ale kpię ze świata, skoro świat kpił ze mnie, Ten strój to strój, jaki mi dał świat, przedtem nosiłam własny. Raz nawet i ten mi zamknięto, więc wyszłam na ulicę bez stroju. Jestem dziełem świata, więc niech mnie twórca mój ogląda.

Ja już ambicyi ani honorów nie szukam. Teraz masz pan temat do tragedyi wesołej, a daj pan jej tytuł: „Dzieło świata“, albo krótko: „Waryatka“...

W tej chwili zerwała się i odeszła nie mówiąc już ani słowa.

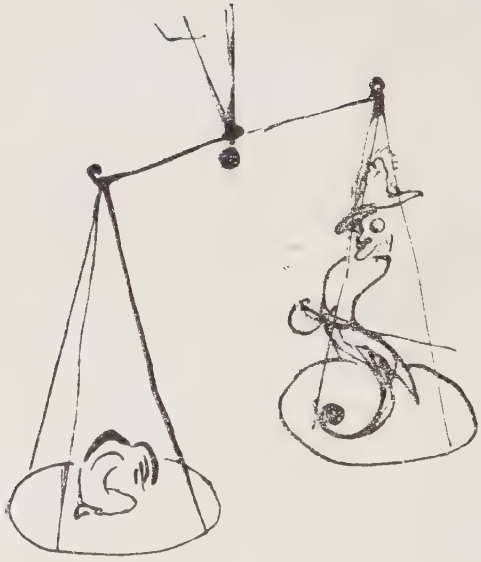

Jeden dzień złotego Lola.

Bardzo trudno oznaczyć, kiedy właściwie u Lola zaczyna się dzień. Bo bywa rozmaicie: czasem o dwunastej w południe, czasem o czwartej popołudniu, a czasem zaczyna się u niego dzień wtedy, kiedy u innych się kończy, t. j. dopiero wieczorem. Nierzadko też zdarza się, że u Lola dzień wcale się nie zaczyna, a jest tylko ciągiem dalszym wczorajszego, czy jeszcze przedwczorajszego dnia.

Tak to piękny Lolo żyje z kalendarzem wiecznie „na bakier“ i — jak sam twierdzi — tem tylko różni się od słońca, że słońce nie zna nocy, a on nie zna dnia. Wyrażając się więc ściśle, nie można mówić o jednym „dniu“ złotego Lola, jako o regularnej jednostce kalendarzowej jego życia i czynów, bo takie pojęcie „dnia“ u niego nie istnieje, a jeżeli wyjątkowo istnieje, to nie jako całość zamknięta, lecz jako coś, co się kaducznie miesza, zmienia, wykrzywia i ucieka, stając się nieraz zgoła niewidzialnem.

Z temi zastrzeżeniami wolno przyjąć, że złoty Lolo kiedyś wstaje i zaczyna swój dzień. A więc powiedzmy najwcześniej: o dwunastej raniutko. Wylazł z łóżka i w negliżu stanął przed lustrem, aby zobaczyć, czy się nie zmienił od wczoraj... Nie... A więc się zbiera. Jedna godzinka, a piękny Lolo jest taki sam piękny, jak wczoraj; tylko trochę zaspany. Po

raz tysiączny rzuca okiem na związane sznurkiem skrypty i daje sobie po raz tysiączny słowo honoru, że od pierwszego zaczyna „robić“, aby stara nie narzekała.

Wobec tego już ze spokojnem sumieniem zabiera się do śniadania, podczas którego odczytuje różne listy małe i wielkie. Te małe są wonne i kolorowe, więc wywołują miły uśmiech na zgrabnych ustach złotego Lola, te wielkie są przykre, choć białe, bo przypominają różne terminy płatności różnych weksli, które są wieczne, jak głupota ludzka. Dlatego Lolo zaraz po śniadaniu siada do biurka i załatwia korespondencyę. Pisze małe kolorowe listy i wielkie białe. W tych małych jest lwem i rozdziela łaski i schadzki, w tych wielkich listach jest pokornem jagnięciem i prosi o zmiłowanie, cierpliwość i prolongatę po raz ostatni pod słowem tak zwanego honoru. Nie dość, że długi nas męczą i martwią, jeszcze trzeba je płacić! To jest dzisiejsza sprawiedliwość.

Tak dumając, wychodzi na miasto około drugiej rano, ale całe miasto jest strasznie głupie, z wyjątkiem niektórych handelków śniadańkowych, więc do jednego z nich wstępuje, aby sobie poprawić apetyt do obiadu. Tu spotyka kilku przyjaciół i na wspólnej naradzie omawia się, co począć z dniem dzisiejszym, aby nie uciekł głupio: partya w kasynie, żeby „się odbić“, czy Olimpia, żeby się trochę rozerwać po pracy. Ale gadu-gadu, a tam obiad czeka, bo już czwarta, piąta, czy szósta przed południem.

Po obiedzie zasłużona drzemka, aby odrobić dawniejsze zaległości w spaniu. Niestety, nie dadzą człowiekowi nawet spać. Jakiś natrętny wierzyciel, który rzekomo Lola nie może nigdy w domu zastać, budzi go i pyta, kiedy nareszcie się zaręczy. Gadaj z idyotą!

Zresztą spać dłużej nie może, bo ma schadzkę na g. 7. po południu w cukierni, kawiarni, lub pod gołem niebem, stosownie do okoliczności.

Około godz. 9. po południu jest już Lolo po kolacyi i zaczyna program dnia, ułożony jeszcze o czwartej przed południem w handelku. Na partyę nie pójdzie, bo dopiero wczoraj spłukał się, a pech może jeszcze z niego nie wyszedł ze wszystkiem, więc idzie oglądać olimpijskie boginie, rozsiewające czar w pasażu Mikolasza na piąterku przy boskich dźwiękach wiecznie zaspanego pianisty. Siada w loży najbliżej scenki, gdzie już jest kilku z tombakowej młodzieży z wyjątkiem Kazia, który pewnie chyba umarł po długich i ciężkich uciechach. Lolo wita znaczącem mruganiem jedną boginię po drugiej, pijąc na ich pomyślność butelkę po butelce jakiegoś wina, którego cena zostaje w rażącej dysproporcyi do jego jakości. Ale co to może być, że niema Kazia? Aha, ma jutro pojedynek z oficerem, więc chce się wyspać. Lolo sekunduje.

Około godziny trzeciej wieczór, piękny Lolo jedzie już dorożką w mieszanem towarzystwie do domu. Naturalnie, że nie do swego. Jedzie do domu, zwanego dowcipnie kawiarnią, gdzie podają szampańskie i likiery, czarną i białą, a gdzie jakiś melancholijny dekadent w kąciku woła płatniczego i, pokazując mu strasznie pustą portmonetkę, mówi zdecydowanym głosem: Proszę mię wyrzucić!

Ale Lolo już siedzi przy stoliku w okropnie mieszanem towarzystwie, śpiewa przy akompaniamencie pianina pieśń o Wilii z „Wesołej Schuppki“ i pije zdrowie dam tyle razy, że chyba żyć będą wiecznie. A potem ktoś z towarzystwa robi dowcip i rzuca niby od niechcenia ciężką tacę w lustro, które nie

zna się na żartach i tłucze się z brzękiem; ktoś usiłuje jedną ręką podnieść stół marmurowy, zastawiony flaszkami; ktoś próbuje śpiewaczkę powiesić trochę na pająku elektrycznym, a ona z hałasem oświadcza, że sobie tego nie życzy; ktoś znów żałuje, że niema Kazika, bo ten lubi kelnerów przerzucać przez biliard i ma w tem nadzwyczajną wprawę.

Jest tak wesoło, że za chwilę raj przemienia się w małe piekło, powstaje małe nieporozumienie i wielka bójka, w powietrzu widać flaszki, pięści, damskie kapelusze, szklanki, kalosze, parasole, krzesła, mniejszych kelnerów, różne płyny, wszystko zaczyna się Lolowi coraz mniej podobać, więc znika z kawiarni po angielsku, wcześniej niż zwykle, bo już o godzinie dziewiątej nad ranem.

Dzięki temu dostał się znów wyjątkowo wcześnie do łóżka i zasnął twardo. Zaledwie jednak zasnął, gdy obudziło go głośne stukanie.

— Kto tam?! — pyta Lolo.

— To ja, Kazik, wstawaj, bo już dziesiąta rano, a masz mi przecież sekundować.

— Zwaryowałeś?! Pojedynek — o północy?!

— Przecież mi przyrzekłeś wczoraj na dzisiaj...

— No, mówiłem ci wczoraj, że jutro, ale dziś jest jeszcze wczoraj!

I zasnął.

BOLEK.

I.

Po wczorajszym festynie wracałem z parku tramwajem. Wóz był przepełniony. W kącie siedziała jakaś przystojna pani z malutkim synkiem. Ten chłopak zwracał na siebie uwagę wszystkich nadzwyczajną urodą i bardzo obrotnym języorkiem. Już przy samem wsiadaniu radził malec matce:

— Mamusiu, daj konduktorowi koronę, żeby tu nikogo nie wpuścił.

— Bolek, proszę cię, cicho siedź!

— O widzisz, widzisz mamusiu, jak się pchają.. o, i ta gruba pani... nie szczyp mamusiu, bo będzie jutro siniec...

Wóz ruszył. Mały Bolek rozglądał się ciekawie po obecnych, którzy cisnęli się w wozie i robił dalej głośne uwagi.

— Mamusiu, czemu ci panowie stoją?

— Bo niema gdzie siedzieć — rzekła uśmiechnięta matka.

— A przecież mogą siedzieć tak, jak ja, na kolanach pań, albo, albo, albo...

— Bolek, cicho...

— Dobrze mamusiu, już będę cicho, tylko nie szczyp... A prawda mamusiu, że ta panienka, co tu siedzi, już taka wielka, jak mamusia.

— Prawda, tylko cicho siedź!

— A ona także ma synka? Czemuż go nie wzięła do parku?

Panienka okropnie rumieni się, mamusia Bolka także, wszystkie inne panie także, a Bolek ciągnie dalej:

— Mamusiu, a czemu wszystkie panie mają obsypane włosy, kapelusze i bluzki tymi papierkami, na co panowie sypią te papierki? To tak ślicznie wygląda, a mnie nikt nie obsypał... Tylko na wielkie dzieci się sypie... A na mamusię sypał tan pan oficer może dziesięć razy i ten ładny pan z czarnym wąsem także, ale mnie się lepiej ten pan oficer podobał, a tobie mamusiu także, prawda?

— Boluś, przestań pleść, bo...

— Już nie, już nie, mamusiu..

Bolek chwilkę odpoczywa i rozgląda się po obecnych.

— Mamusiu, prawda, że tylko małe dzieci mają guwernantki?

— Prawda.

— A czemuż w parku dorośli studenci w mundurkach...

— Bolek, cicho!

— A czemu tatko miał przyjść do parku i szukać nas, a nas nie zastał.

— Bo nie miał czasu przyjść...

— A ja sam widziałem tatka w alei...

— Zdawało ci się tylko, to był kto inny.

— Ale szedł przecież z tą samą panią, która przychodzi do mamy wtedy, kiedy mamy w domu niema..

Tramwaj wybucha śmiechem.

— Już nic nie powiem, mamusiu, tylko nie szczyp... O, patrz mamusiu, tam w drugiej klasie siedzi

ten żyd, który do nas zawsze przychodzi po pieniądze.

— Bolek, czego ty dziś tyle mówisz? Nigdy więcej nie pojedziesz do parku!

— Naprawdę, mamusiu, że już więcej nic nie powiem.

Znowu mała pauza, Bolek rozgląda się.

— Dobrze, że sobie ta gruba pani wysiadła, bo tak ją czuć było słoniną, że strach...

Wszystko w tramwaju śmieje się, mamusia zakłopotana poci się i wygląda przez szybę.

— Mamusiu, jutro mnie weźmiesz ze sobą do parku?

— Nie idę jutro.

— A dałaś słowo temu panu oficerowi.

— Co ty pleciesz?

— Może nie pamiętasz, mamusiu, ale ja dobrze uważałem.

— Bolek, nieznośny jesteś, chodź!

— Ja przecież tatkowi i tak nic nie powiem, a jak tatko każe milczeć, to ja mamusi także nic nie gadam.

— Chodź, chodź, tu wysiadamy.

— Mamusiu, kiedy ja będę oficerem?

Mamusia pociągnęła Bolka i wyszli.

II.

Długo szukałem małego Bolka, aż przedwczoraj po festynie ujrzałem go znowu w tramwaju. Wracał po festynie do domu, tym razem z ojcem, przystojnym mężczyzną. Wóz wypełniał się coraz bardziej.

— Widzisz, tatusiu — mówił Bolek do ojca — a mówiłem, żebyśmy nie jechali tramwajem. bo ten konduktor umyślnie czeka, żeby się zebrało bardzo dużo ludzi, a lepiej przecież uciekać prędzej, żeby było mniej.., o... o... o... teraz tatuś będzie musiał wstać i tak stojąco siedzieć aż do domu.. o.. ja wolę jechać z mamusią...

— Dość, dość, Boluś, cicho.

— Dobrze, ale dlaczego, jak pani wchodzi, to pan się podnosi i puszcza ją na swoje miejsce. a pani nigdy się nie podniesie, jak pan wchodzi...

— Bo grzeczność wymaga, aby mężczyźni...

— To tylko mężczyźni mają być grzeczni, a paniom nie wolno być..,

— Głupiś, cicho siedź.

— Ja siedzę.

Mała pauza. Bolek rozgląda się ciekawie po obecnych.

— Tatusiu, a czemu dziś nie obrzucali się papierkami na festynie, może dlatego, że takie nieładne panny sprzedawały te papierki?

— Co to ciebie wszystko obchodzi? — spytał ojciec z wyrzutem.

— Bo mamusia mówiła, że jak ładna panna ma coś na sprzedaż, to wszyscy kupują, choć nie potrzebują, a jak brzydka chce sprzedać...

— No, dobrze, dobrze, już cicho.

— A jeszcze jedno i już, tatusiu. Czemu, tatusiu, te muzyki wszystkie trzy grały zawsze razem, a nie osobno, jedna po drugiej?

— Nie wiem.

— A przecież, kiedy się o to pytały te dwie panny, to ty, tatusiu, mówiłeś do nich: ja to paniom wytłumaczę, proszę tylko zejść na bok, a one nie chciały...

— Co ty pleciesz, Bolek, Bolek, Bolek...

— Dalibóg, tatusiu, może nie pamiętasz, to było jeszcze przed tą damą w żałobie, której tatuś podał różę z liścikiem niebieskim...

— Bolek!

— Już nic, tatusiu... Ale ja mamusi i tak nic nie powiem..

Tramwaj śmieje się. Stary Bolek poci się, mały Boluś zapatrzył się w lampkę elektryczną. Stacya.

— O, widzisz, tatusiu, tutaj zawsze wsiada ten pan oficer..

— Co za oficer, co ty pleciesz, ja nie znam żadnego oficera...

— Ty tatusiu jego nie znasz, bo on do tatusia zawsze przychodzi, ale jakoś nigdy nie może tatusia trafić w domu, i bardzo a bardzo żałuje, a potem mama go prosi, żeby na tatusia chwileczkę zaczekał, bo tatuś pewnie zaraz przyjdzie, a on zawsze ma jakiś pilny interes do tatusia, naprawdę, i musi czekać, i ja dostaję od niego piątaczka na cukierki, i od mamy piątaczka... i tak przyjemnie jest... a potem on nie ma czasu dłużej czekać i mówi, że przyjdzie jutro.

— Już, już dość! — zgrzytnął zębami ojciec.

— Nawet mamusia mówiła, że dziś ja mam iść z tatusiem do parku na festyn i tam pan oficer znajdzie tatusia na festynie, ale jakoś nie przyszedł, bo go pewnie głowa boli...

— Boluś, będziesz ty milczeć?

— Już, już, ani słowa... Nie bój się, tatusiu, ja przecież mamusi o tem nic nie powiem.. Ale tak chciałbym być oficerem...

— Nie pojedziesz już do parku.

Znowu pauza. Bolek smutny. Stacya.

— Dobrze, że sobie ten pan wyszedł, bo tak śmierdzi wódką, że strach... a... a... czemu te panny się śmieją?

— Bo-lek! Będzie w domu bicie!..

— Przecież nie ja się śmieję, ale te panny... mnie się zdaje, że tę panienkę w kąciku tatuś dziś potrącił, a ona pokazała język — to przecież niegrzecznie, prawda?

— Masz klapsa i cicho siedź!

Tramwaj już wyje śmiechem.

— Tatusiu, czemu ten pan nosi pierścionek bez kamyczka tutaj w tramwaju to się przecież nosi tylko w domu, a... u... a.. (ojciec zatkał Bolkowi usta) puść tatusiu, już nic nie gadam... ale nic tatusiu nie mów mamci, a ja także nic nie powiem.

— Bolek, zaraz wysiadamy, wstawaj!

— Dobrze, tatusiu, ale kiedy ja będę oficerem?

— Chodź, chodź!

I pociągnął go ze sobą.

III.

Po wczorajszym festynie na dochód kolonii rymanowskich wracał mały Bolek z matką. Czekali na tramwaj.

— Już się cieszę, — rzekł Bolek — że z mamusią jadę, bo przynajmniej nie trzeba będzie stać, ale uważaj, mamusiu, jak tylko tramwaj nadjedzie wsuń się od razu do środka bo tu tyle ludzi się pcha, że jeszcze gotowi cały tramwaj przewrócić. Czemu oni nie idą piechotą?

— Bo im się nie chce, a ty dziś milcz, bo nigdy nie pójdziesz na festyn

— Ależ dobrze, dobrze, mamusiu... o... już jest tramwaj, pchajmy się, mamusiu, prędko, proszę na bok, proszę ustąpić!

— Cicho, Bolek!

— No, chwała Bogu, że siedzimy, żeby się tylko nie napchało za dużo... ale wiesz, mamusiu, że dzisiejszy festyn był smutny, prawda?

— Prawda

— I ty, mamusiu, jesteś smutna, no, dobrze, ale powiedz mi, mamusiu, co to znaczy egzekucya?

— Bolek, prosiłam, abyś milczał...

— No, dobrze, tylko nie szczyp, mamusiu, bo będzie znak...

Pauza. Bolek rozgląda się.

— Ale z tatusiem tobym już naprawdę nigdy nie jechał za tę awanturę, że zrobił mamusi zeszłej niedzieli...

— Bolek!

— Doprawdy, że nic już nie mówię... Tylko mnie złości, że ten festyn był taki smutny. Szkoda, żeśmy

się cieszyli, że tatuś pojechał na komisyę i możemy iść na festyn. Ale co z tego, kiedy już nie było ani pana oficera, ani... nie szczyp mamusiu, przecież ja nic tatusiowi nie gadam. O, nie głupim. Znowu będzie rzucał talerzami i zegarem. Wiesz, mamusiu, że mężczyźnie nie warto nic gadać, bo zaraz wyplotka.

— Bolek cicho mi być!

— Dobrze, mamusiu.. Ale to wolno mówić, że tu się ktoś tak najadł cebuli, albo kiełbasy...

— Co to ciebie obchodzi? Milcz!

— Ja zaraz poznam, bo się pewnie zarumieni...

Rozgląda się badawczo po obecnych. W wozie mała konsternacya.

— Już wiem, ale nie powiem, bo nie chcę żadnej pani zawstydzić...

Wszystko śmieje się, nawet mamusia Bolka. Wszystkim spada kamień z serca. Bolek wlepia oczka w lampkę elektryczną.

— Mamusiu, a czemu ty dziś taka poważna była w parku, bo się boisz tatusia, prawda? Ale ja już nic mu nie powiem.

— Co ty bredzisz, Bolek!

Stacya.

— Wsiadł mamusiu, dalibóg że wsiadł i stoi na dworze, uciekajmy drugą stroną na koniec świata...

— Cicho... kto taki? — pyta matka cokolwiek zmięszana.

— A tatuś przecie mówił, żeby mamusia uciekała na koniec świata, jak zobaczy tego pana z cwikierem — mamusiu, a gdzie jest koniec świata?

— Nie pleć głupstw i siedź cicho!

— To nie głupstwo, przecież tatuś za niego przez mamę zapłacił bardzo dużo koron... tylko nie szczyp,

mamusiu... o... o... kłania się mamusi, czemu się nie odkłaniasz, to przecież niegrzecznie...

W tej chwili musiałem przejść do oddziału drugiej klasy, aby się zobaczyć z sąsiadem. Z oddziału I. klasy doszła mnie salwa śmiechu, której sprawcą był niewątpliwie Bolek. Gdym wrócił na swoje miejsce, wszystko się śmiało i spoglądało na mnie. Wiedziałem, że zadrwił ze mnie. Potem dowiedziałem się od znajomej pani, że Bolek po mojem wydaleniu się powiedział:

— Ten pan pewnie zakochał się bardzo w mamusi, bo jakoś zawsze z nami wraca z parku i na nas tak niepewnie patrzy...

— Prawda mamusiu — mówił Bolek po moim powrocie — że w tej wielkiej restauracyi na festynie jest bardzo dobrze, bo można zjeść, a potem nie trzeba zapłacić i nikt się nie upomina... My już trzy razy... nie szczyp, mamusiu.. nie bój się, mamusiu, bo tatko także nigdy nie płaci, tam tak dużo gości, tatko woła „płacić“, nikt nie przychodzi, to tatuś się gniewa i odchodzi.

— Kto ci o tem mówił? zdawało ci się może? ty ciołku.

— Jak mamusię kocham, a przecież my dzisiaj też nie płacili, bo mamusia się gniewała, że taka niedobra usługa.

— Głupiś, siedź!

— Ale dobrze, że oni nie przychodzą fantować, jak ci kupcy u nas, codzień inny, prawda?... Ty się już gniewasz, mamusiu, a ja doprawdy przecież nic nię mówię ani o tym oficerze, ani o tym liście, ani o tych gumowych... nie szczyp. mamusiu..

— Wysiadajmy, Bolek.

— To jeszcze nie nasza stacya. Jedźmy do końca, mamusiu, a masz moje słowo honoru, że już nic nie powiem, tylko nie gniewaj się .

— Chodź, chodź.

— No, to powiedz mi przynajmniej, co to jest egzekucya?

— Chodź już, chodź.

I wyszli.

IV.

Nie myślałem nawet o Bolku i dusiłem się w przepełnionym wozie tramwajowym, prosząc w duchu Boga, aby bodaj wóz się przewrócił, byłem się czem prędzej stąd wydostał, gdy nagle usłyszałem znany mi głos:

— Joooj!

— Cicho, Bolek! — odzywa się matka. — Przysuń się!

W ten sposób go odkryłem.

— Nie mogę się przysunąć, bo mi ta gruba pani siedzi na płaszczu.

Korpulentna sąsiadka wstaje na chwilę, a Bolek wyciąga z pod niej połę swego płaszczyka.

— Jak pani twardo siedzieć — mówi Bolek, — to niech pani sobie podścieli...

— Bolek!

— Już nie, mamusiu, ale powiedz mi, mamusiu, czemu my już piąty raz jedziemy na wystawę, a nie byliśmy jeszcze w żadnym pawilonie?

— I owszem byliśmy, tylko ty nie pamiętasz!

— E, w tym za trzy centy, to ja nie rachuję, bo to nie jest hygieniczna wystawa...

Tramwaj cały trzęsie się ze śmiechu.

— Ale milcz, byliśmy w głównym pawilonie przed tygodniem...

— Dalibóg mamusiu...

— Milcz, Bolek, bo więcej nie pojedziesz.

— A czemu mamusiu robi się tak ciemno, jak zaczynają pokazywać ten kinematograf?

— Aby lepiej widać było obrazki — objaśnia matka.

— Nie mamusiu — mówi Bolek — przeciwnie, mnie się zdaje, aby nie było widać, co ludzie wtedy robią,

Tramwaj okropnie zadowolony.

— Co ty pleciesz, Bolek!?

— No, bo ludzie wtedy tak się szczypią...

— Cicho, dość już, siedź!

— A czemu...

— Milcz, Bolek!

— Tylko to jedno mamusiu, czemu to się nazywa wystawa hygieniczna?

— O tem się dowiesz, jak pójdziesz do szkoły.

— A kiedy ja pójdę do szkoły?

— Jak będziesz starszy o rok.

— To każdy człowiek jest coraz starszy?

— Ma się rozumieć

— A czemu ty mamusiu miała tamtego roku trzydzieści lat, a w tym roku masz dwadzieścia sześć?

— Kto ci o tem mówił, co ty pleciesz?

— A przecież mówiłaś sama wczoraj panu Janowi, ja podsłuchiwał...

— Nie bredź, Bolek!...

— A jak my pójdziemy w tym deszczu do domu?

— Zobaczysz, a teraz milcz.

— Otworzysz parasol i podniesiesz suknię, prawda?

Pauza.

— A czemu, mamusiu, panie podnoszą tak wysoko suknie, jak niema deszczu?

— Bolek, przestań!

— A ja sam wiem, aha, żeby pokazać, że nie mają dziurki w pończochach, prawda?

— Bolek, wysiadamy.

— A czemu, jak ty, mamusiu, masz w pończochach jedną dziurkę, to zakrywasz, a jak masz bardzo dużo dziurek, to pokazujesz?

— Przestań Bolek, chodź!

— Ale co to znaczy „hygieniczna“?

— Chodź, chodź, powiem ci w domu.

I wyszli.

Pan Radca opowiada.

Już od godziny siedział przy mnie w kawiarni jeden z radnych i opowiadał mi jakąś historyę bardzo długą i podobno bardzo zajmującą, z której można było poznać dokładnie cały jego życiorys i jego rodziców i rodziców jego żony i wszystkich krewnych w prostej linii i różnych liniach krzywych. Na co on mi to wszystko opowiadał, nie wiem. Z początku próbowałem mu przerwać w nadziei, że można będzie zakończyć opowiadanie, ale to miało jeszcze gorszy skutek, bo mój interlokutor nie pamiętał, w którem miejscu mu przerwałem opowiadanie i zaczynał od początku całą historyę swojego rodu na nowo.

Więc już nie odzywałem się, aby nie opóźnić zakończenia i czekałem za to z cierpliwością godną lepszej sprawy. Trochę słuchałem, a trochę myślałem o czem innem. Obmyśliłem przy tem tematy do sześciu fejletonów, ułożyłem sobie w myśli plan letniej podróży i moje rozporządzenie ostatniej woli, przygotowowałem sobie w myśli odpowiedź na kilkanaście niezałatwionych listów, a mój radca ciągnął dalej swoje opowiadanie, przyczem z nadzwyczajną sprawnością przechodził z jednego tematu na drugi, a gdym go zostawił raz na weselu jego kuzynki i zacząłem myśleć o czem innem, to powróciwszy myślą a raczej

uchem do opowiadania mojego radcy, zastałem już smutny pogrzeb tej kuzynki i aż sześcioro osieroconych dzieci.

Najgorszem było, że radca ciągle mylił się lub zapominał szczegółów, a że cenił dokładność i prawdomowność, więc sam sobie przerywał i pukając się w czoło, prosił, abym chwilkę poczekał, aż sobie przypomni ten szczegół.

— Bo jej ciotka, którą pan zapewne znać musiał — ciągnął dalej radca — to była zacna dusza i umarła na zwapnienie aorty, mając 65 lat, albo nie... Czekaj pan... Tak jest, 65 lat, bo ona była ode mnie starszą o cztery lata, sześć lat już nie żyję, to miałaby dziś 71, gdyby notabene żyła, tak jest, miała 65 lat. A może ja się mylę? Czekaj pan. Ja stawałem do wojska w roku...

Zacząłem się kręcić na miejscu, bo czułem, że już tej służby wojskowej z nim nie wytrzymam.

— Przepraszam pana radcę — rzekłem — że nie mogę niestety wysłuchać do końca tej zajmującej sprawy, bo czeka na mnie żona, mamy iść do teatru.

— Ależ panie — powiada radca — wysłuchałeś pan początek, to słuchaj dalej, bo najciekawsze dopiero nastąpi...

Zacząłem się już pocić. Widziałem, że trzeba będzie zaprenumerować się na cały rok na to opowiadanie, jak na jakiś romans wychodzący w zeszytach. Takie myśli trapiły mi głowę, a mój radca tymczasem dał się „asenterować“, wstąpił do wojska, odznaczył się na manewrach, został frajtrem, miał dwa pojedynki i trzy kochanki, był ulubieńcem samego kapitana, a raz postrzelony na ćwiczeniach musiał pójść na miesiąc do szpitala.

— A właściwie — mówił dalej radca — nie miesiąc, ale pięć tygodni byłem w szpitalu... A może tylko miesiąc... zaraz... bo w pierwszych dwóch tygodniach byłem prawie nieprzytomny. a potem byłem jeszcze dwa tygodnie a może trzy. Tego panu już dziś nie powiem tak dokładnie, ale w każdym razie niemniej, jak miesiąc i nie więcej jak pięć tygodni. Ale co to za stosunki były w tych czasach i jaki to był szpital, powiadam panu...

Wstałem. Czułem, że te szpitalne stosunki ówczesne mogły mię złamać do reszty.

— Bardzo przepraszam, że przerwać muszę, ale w teatrze zaczęli już przedstawienie.

— No, to szkoda — powiada radca — to kiedy indziej, może jutro, bo pan bardzo zajmująco rozmawia.

— To pan radca raczej...

— Nie panie, to widzi pan, przypomina mi się właśnie mój nieboszczyk stryj, którego pan zapewne znał, a który w roku 1877. albo nie, w roku 1875. był raz, nie, czekaj pan, to już było w r. 1880, tak...

Ale ja już nie czekałem na historyę o stryju i uciekłem, jak z walącego się domu.

O informacyę.

Siedziałem zamknięty w ostatnim pokoju naszego mieszkania, zajęty pilną pracą. Do saloniku przylegającego do mego pokoju, weszła moja żona z jakąś panią, po której głosie poznałem, że jest obcą.

— Niech się pani nie dziwi — mówi obca pani — że jako zupełnie obca przychodzę z prośbą o informacyę, ale nie miałam innej drogi i wybrałam najkrótszą. Bo pomyślałem sobie, że przecież można obcą będąc, pójść, przeprosić, przedstawić się i przestaje się być obcą — czy nie tak?

— Pewnie — powiada moja żona — bardzo słusznie.

— I dlatego wybrałam się sama — ciągnie dalej nasz gość — bo wie pani, jestem pod tym względem podobna całkiem do mojej matki, która niczem nigdy nie krępowała się, ile razy miała coś załatwić i wybierała zawsze najkrótszą drogę. Ona nawet raz, proszę pani, z tego powodu miała nieprzyjemność. To było tak.

Tu zaczyna nasz gość długo i szeroko opowiadać o wielkiej nieprzyjemności, na jaką naraziła się matka i o wszystkich skutkach jakie stąd wynikły, przypomniała sobie mimochodem jeszcze ciekawszą historyę z życia jakiejś zmarłej ciotki, wylicza przy tej spo-

sobności wszystkie jej cenne zalety, na których wspomnienie rozczula się i płacze, moja żona ją pociesza, jak może, a ona znów przechodzi na inny temat z początku wesoły, potem coraz smutniejszy, wreszcie spogląda na zegar, zrywa się z miejsca, przeprasza żonę, że jej zajęła całą godzinę drogiego czasu, żegna się i odchodzi.

Otwieram drzwi swego pokoju i pytam żony, jaka to miała być informacya.

— Słowo ci daję, że nie wiem — mówi żona — wspomniała na samym początku, że przychodzi z prośbą o jakąś informacyę, a potem zaczęła mówić o czem innem i tak długo mówiła, aż pożegnała się i poszła. Ja jej nie przerywałam, a ona podobno zapomniała o celu swego przybycia.

Oboje wybuchamy głośnym śmiechem, a w tem daje się słyszeć dzwonek.

— Ona sobie teraz przypomniała na schodach, — powiadam do żony — że odeszła bez informacyi i wraca...

Cofnąłem się znów do swego pokoju, a po chwili weszła do saloniku moja żona i nasz gość. Obie śmiały się długo i serdecznie.

— Bo mnie, widzi pani, — powiada obca pani — tak się jakoś przyjemnie zagadało i na śmierć zapomniałam, w jakim celu wybrałam się do pani. Coś podobnego zdarza mi się po raz pierwszy w życiu i wstydziłam się wrócić ze schodów. Mąż mój wyśmieje mię, kiedy mu opowiem, — o, bo oni zawsze nas wyśmiewają i powiadają, że my mamy krótką pamięć. A on sam, wie pani, zawsze zapomina zabrać ze sobą parasol, papierośnicę, często zostawia kalosze w biurze, a raz nawet w kawiarni zostawił zarzutkę, powiadam pani, nowiusieńką, dopiero co odebraną od krawca..

— O, mój taki sam zapominalski — powiada moja żona — oni wszyscy tacy, a na nas narzekają...

— U nas w domu — mówi dalej obca pani — były już o to formalne kłótnie, proszę pani, tu kiedyś nawet pogniewaliśmy się ze sobą na dobre.

I w tem miejcu zaczyna szczegółowo opowiadać o zajściu domowem, a w toku opowiadania zapala się coraz więcej i dochodzi do wniosku, że mężczyźni bywają czasem nietylko potworami, tyranami, despotami i t. d., ale nadto wszyscy mężczyźni mają ptasie mózgi, zupełnie pozbawione pamięci. Na dowód tej prawdy przytoczyła moja żona jeszcze bardziej jaskrawy przykład, którego jednak nie pozwoliła jej dokończyć obca pani, bo mając doskonałą pamięć, przypomniała sobie właśnie inne zajście, jeszcze bardziej ilustrujące kiepską pamięć mężczyzn. Zeszło potem na bogaty temat sług, które jak wiadomo, już wcale pamięci nie mają, wszczęła małą sprzeczkę z moją żoną o to, czy lepsze są młode sługi, czy stare, a wreszcie obie zgodziły się na to, że i jedne i drugie są dyabła warte. Po godzinie same uznały, że o tem byłoby jeszcze więcej do mówienia, wobec czego pożegnały się czule, a nasza pani znów odeszła, zapomniawszy przecież powiedzieć, o jaką informacyę jej chodziło.

HANIA.

Hania.

Hania jest piękną dziewczyną, ale trochę mamalygowatą. Gdy milczy, jest uosobieniem poezyi — gdy otwiera usta, zdradza ją proza okrutna w najprozaiczniejszem znaczeniu tego słowa. Kochałem tę dziewczynę przez cały miesiąc, ale dłużej nie mogłem. Zakochałem się w niej z daleka i zbliżyłem się. Gdym ją spytał, czy pozwoli się odprowadzić do domu, odpowiedziała:

— Czeemu niee? Straach...

Przez całą drogę mówiłem jej o silnem wrażeniu, jakie na mnie wywarła — zapewniałem, że to wrażenie nie minie tak rychło, że pragnieniem mojem byłoby zostawać zawsze w pobliżu tych cudnych oczu — a mówiąc, używałem najczulszych, najbardziej wyszukanych wyrazów. Ona milczała i słuchała, a na moje nalegania, by mi przecież jakąś odpowiedź dała, powiedziała:

— Pan taki śmiiszny, że straach..

Nie było w tych słowach wiele zachęty, ale postanowiłem zbliżyć się za każdą cenę. Nazajutrz po obiedzie złożyłem wizytę jej rodzicom. Przyjęli mnie bardzo sympatycznie. Zacząłem bywać w domu. Ciągnął mnie tam urok prześlicznej Hanki. Nie zrażała mnie jej proza, bo przypisywałem ją młodemu wiekowi, naiwności, brakowi stosownego towarzystwa

i spodziewałem się, że to się wszystko zmieni. Ale Hania była zawsze ta sama. Kiedym jej pewnego razu — sam na sam z nią będąc — w gorących słowach prawił o miłości i w ekstazie padłem u jej stópek drobnych na kolana, zawołała uśmiechnięta:

— Ta fee! Ta daj pan spokój, bo pan sobie het spodnie powaala, że straach.

Kiedym jej raz proponował, byśmy poszli w towarzystwie mamy do teatru na nowy dramat, odpowiedziała Hania po dojrzałym namyśle:

— Wie pan coo? Niech pan idzie z mamą a ja nie pójdę, bo ja się tam nudzę, ja wolę pójść na feeestyn do parku, tam tak wesoło, że straaach...

Nie pomogły perswazye matki i moje prośby, Hania nie poszła do teatru i zostaliśmy wszyscy w domu.

— I co pani ma na tych festynach — pytałem — wiecznie to samo, prawie same głupstwa...

— Jaki pan jeszcze jest durny — mówiła Hania śmiejąc się — ta jak można gadać, że feeestyn jest głupstwem, to straaach.

Pomyślałem sobie, że Hania nie będzie może kulturalną żoną, ale za to będzie bez wątpienia dobrą gospodynią i matką. Lecz po kilku dniach wyprowadziła mnie i z tego błędu. Hania zaniedbywała się w strojach. W domu wszystkie dobre gospodynie ubierają się podobno niedbale. Więc nie dziwiłem się że suknia ubóstwianej dziewczyny była splamiona, z przodu dłuższa a z tyłu krótsza, że bluzka była w kilku najnieodpowiedniejszych miejscach rozpięta, że z pod paska wychodziły na wierzch różne tasiemki, sznurki i wstążki. Gdy jej matka zwracała uwagę na te niewłaściwości w stroju, odpowiadała:

— Ta czego się mama mnie ciągle czepia, że strach, przecież w domu nie potrzebuję się stroić.

Matka tłumaczyła mi, jak mogła, że im lepsza gospodyni, tem niedbalej się ubiera w domu.

Ale Hania i na ulicy nie budziła podziwu szykiem i elegancyą. Prawie z reguły kapelusz krzywo siedział na głowie, a fryzura rozchodziła się na wszystkie strony i wisiała dokoła pięknej główki.

— Panno Haniu, może wstąpimy do sieni, aby pani poprawiła fryzurę...

— Także coś — mówiła Hania niesmacznie — na ulicy będę robić toaletę. Już zajdziemy do domu. to tam się poprawi.

Jeszcze gorzej było ze suknią, której nigdy prawie nie podnosiła, deptając po niej niemiłosiernie i zamiatając ulicę.

— Podnieś sukienkę Haneczko — mówiła mama.

— Oj, oj, mama już się mnie czepia nawet na ulicy, na masz, już podnoszę, już... to straaach.

I wtedy podnosiła ją w złości ponad potrzebę wysoko, że aż widać było dziurkę w pończoszce i wiecznie rozwiązane sznurki od bucików.

— Może wstąpimy do sieni — mówiłem — to pani zasznuruję buciki, bo sznurki...

— Ta właśnie dlatego — mówiła Hania — nie chciałam podnosić sukni, aby nie było widać tych sznurków, ale jak mama tak chce, to niech ma, nic nie będę zawiązywać...

Gdy wracamy ze spaceru do domu, Hania już w pierwszym pokoju gubi suknię prawie do połowy. w drugim pokoju gubi ją całkiem i zostawia na podłodze, poczem idzie do trzeciego, mając jeszcze kapelusz na głowie i mówiąc:

— Niech się pan nie patrzy, ja zaraz wrócę.

Matka idzie za nią, podnosi suknię z podłogi, a po krótkiej, cichej konferencyi matki z Hanią, wychodzi z trzeciego pokoju głosik Hani:

— Ta co się stało, straaach! Ta już nie mogłam zatrzymać, bo było za późno, mama już się mnie znowu czepia...

Hania smutna.

Przyszedłem do domu rodziców Hani popołudniu, ażeby ją zaprosić z matką do teatru. Zastałem Hanię, siedzącą w kąciku na sofie. Była jakaś bardzo smutna. Po przywitaniu się z matką, przystąpiłem odrazu do słodkiej dziewczyny.

— Jakże się pani miewa, panno Haniu, nawet mi pani rączki nie poda?

— Strach — odpowiedziała Hania niechętnie, podając mi jeden palec lewej ręki.

— Pani, jeśli się nie mylę, trochę zmieniona, może nawet smutna, może...

— Jaki pan ciekawy...

— Tak jest — wtrąca się matka — ona zmieniona trochę, ale to przejdzie...

— Mnie tylko o to chodzi, czy pani, broń Boże, nie smutna.

— Nie...

— A przecież pani wygląda smutno... Może kto panią obraził, zabolał, dotknął...

— Ej...

— A więc może to jakieś wspomnienia, może tęsknota za kimś lub za czemś...

— Tak, tak — wtrąciła matka — tęsknota, tęsknota.

— Co mama za głupstwa wygaduje — zawołała oburzona Hania — żadna tęsknota... straaach!

— A jednak pani dziś inna. Nigdy pani taką nie była. Wprawdzie nie należy pani nigdy do wesołych i trzpiotowatych, ale nigdy pani nie była taką, jak dziś. Więc co jest? ja muszę, ja chcę koniecznie wiedzieć? Może to ból istnienia — może...

— Tak, tak... — wtrąca matka.

— Ale nie — mówi Hania — pan jakiś taki durny, że straaach, a mama jeszcze pomaga.

— Więc może zawód w miłości? Może...

— Oj...

— A więc zgadłem. Zawód w miłości. A kto jest tym szczęśliwym?

— Łatwo się domyśleć — wtrąca się matka z uśmieszkiem.

— Czego się domyśleć — mówi Hania — ja nikogo nie kocham.

— A czemuż pani smutna? Co za powód? może przyjaźń zawiedziona, może dociekanie zagadki wszechbytu — może tęsknota za czemś nieokreślonem, niewidzialnem?...

— Co pan tu wygaduje — to straaach...

— A czemuż pani smutna?

— Ale ja nie jestem smutna! Tylko przy obiedzie najadłam się ogórków i teraz boli mnie brzuch..

Hania na balu.

Hania była ze mną i z matką na wieczorku. Ona nie chciała iść. Mówiła, że to całkiem niema sensu. Ale matka i ja pracowaliśmy tak długo, że udało nam się namówić Hanię, bo zadecydowała:

— No, to pójdę i już, nie gadajcie tyle... tyle... straaach.

O przygotowaniach wolę nie wspominać, bo to była osobna tragedya. Co pięć minut rozbijał się plan. Hania ponsowiała, ciskała w kąt wszystkie drobiazgi, by po kwadransie znów zabrać się do ubierania. Na samym końcu, gdyśmy już przyjechali do Kasyna, Hania powiedziała coś mamie na ucho, a mama zakłopotana, zwróciła się do mnie:

— Mój panie złoty, niech się pan nie gniewa, ale stało sie małe nieszczęście, i pan będzie musiał skoczyć fiakrem do nas, bo Hania koło umywalni zostawiła — ale bardzo pana przepraszam — zostawiła no... te... te.., podwiązki.

Nie było z czem zwlekać. Skoczyłem dorożką i przywiozłem.

— Ta joj! — zawołała Hania odbierając odemnie zapomnianą rzecz — ta to nie moje, ale mamy, jaki pan niedomyślny, to straaach.

Ale jakoś temu zaradzono i weszliśmy na salę. To był wieczorek, którego nigdy nie zapomnę. Dopiero na sali dowiedziałem się, że Hania nie umie tańczyć, bo się nigdy tańczyć nie uczyła. Ale dopiero mi wtedy o tem mówiła, kiedy jej już przedstawiłem kilkunastu panów — między nimi i aranżera, który ją odrazu zaangażował do kadryla.

Hania jest piękną i na zewnątrz — jak długo siedzi lub stoi na miejscu — niczem nie zdradza, że

o tańczeniu nie ma pojęcia. Więc ją brali jeden po drugim, zwabieni jej piękną twarzyczką i pocili się przy niej strasznie. Przy wirowych tańcach Hania dokazywała cudów niedołęstwa. Albo ona stanowiła oś nieruchomą, dokoła której skakał danser — albo jego trzymała gwałtem w jednem miejscu, a sama kręciła się w kółko dokoła niego, podrygując, jak wesoły wróbelek. Co kilka kroków musieli stawać i na nowo zaczynać, a Hania miała minę tak zadowoloną, jak gdyby była co najmniej baletnicą. Tańczyła z każdym, bo nie odmawiała nikomu. Na moje perswazye, że nie powinna tyle tańczyć, skoro nie umie, odpowiadała:

— Czego pan się wtrąca? Na to tu przyszłam, ażeby tańczyć. A gdzież się można nauczyć, jeśli nie tu... straaach.

Aranżerowi zepsuła cały kadryl na nic. Musiał ciągle tylko o niej pamiętać. Ciągle mu się gdzieś gubiła, ciągle za nią szukał, a w trzeciej figurze zapodziała mu się tak gruntownie, że znalazł ją po kwadransie szukania gdzieś aż w garderobie. Muzyka musiała przerwać.

— Ta poszłam tylko po chusteczkę do nosa — tłumaczyła się Hania.

Dzięki jednej Hani cały kadryl był po prostu skandaliczny. Albo stała niewzruszona na miejscu, i zawadzała innym, albo maszerowała po sali, jak nakręcony automat i nie można jej było wstrzymać żadną siłą. Tylko ją jedną widziano w kadrylu, bo była na wszystkich końcach sali równocześnie.

Robiła wrażenie, że maszeruje z jakimś z góry wytkniętym celem, i z tą pewnością, że ona jedna w tej sali rozumie, jak tańczyć należy kadryla... Aranżer wyrywał sobie włosy i chciał kilka razy drapnąć z balu.

Muzyka musiała kilka razy przerywać, bo kilka razy pomieszały się wszystkie pary. To wszystko dzięki jednej Hani.

Co było z mazurem, nie da się nawet powtórzyć. Trzy panie odniosły poważne kontuzye, przeważnie w okolicy kolan. Sprawczynią była Hania, która każdym razem mówiła:

— A niech pani drugi raz uważa i nie pcha się. Straaach, jak one tańczą!...

Nawet w powrocie do domu narzekała, że tutejsze panie są bardzo niedołężne i nie umieją tańczyć, bo ciągle włażą człowiekowi w drogę.

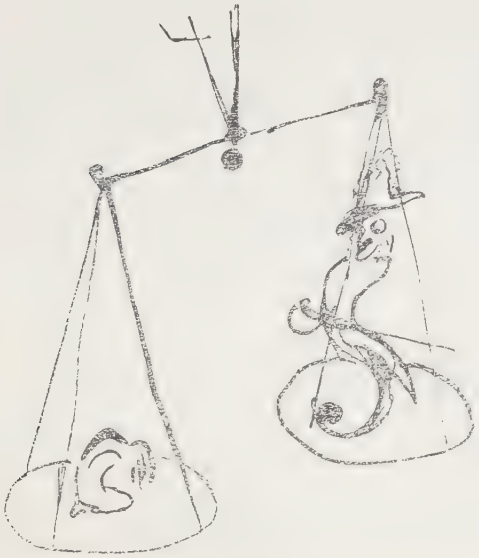

Pan Inspektor.

Ktoś zadzwonił do mego mieszkania. Służąca otworzyła drzwi. Za chwilę weszła do mego pokoju i zameldowała:

— Pan inspektor przyszedł.

— Proś — zawołałem, zrywając się z miejsca. Byłem pewny, że to jakiś inspektor podatkowy, czy jeszcze gorszy, który przychodzi zobaczyć moje mieszkanie i zbadać osobiście moje stosunki. W tej chwili wszedł jakiś elegancki blondyn, gładko wygolony, wyglądający trochę na szofera automobilowego, trochę na nic.

— Jestem inspektor X. — przedstawił się.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekłem blady — czem mogę służyć? Proszę łaskawie spocząć...

Zajęliśmy obaj miejsca.

— Jestem — ciągnął dalej mój gość — inspektorem największego, najsolidniejszego towarzystwa ubezpieczeń „Canalia"...

— Ah...

— Tak. I przechodzę wyłącznie w pańskim interesie...

Teraz błysła mi wesoła myśl. Pewnie przychodzi mi proponować, abym objął jakąś dobrze płatną synekurę w ich urzędzie.

— Bardzo mnie to zaciekawia... — rzekłem ożywiony.

— Widzi pan — deklamamował dalej mój gość — dobrodziejstwa asekuracyi są panu, jako inteligentnemu człowiekowi, dobrze znane, każdy dziś się ubezpiecza na przeżycie, czyni to dla żony, dla dzieci...

— Wiem, wiem, wiem.

— To dobrze. Cieszę się, że nie trzeba panu szczegółowo wyjaśniać i mogę odrazu przystąpić do rzeczy: postaw nam pan wniosek na ubezpieczenie.

Darmo tłumaczyłem mu, że już jestem dość wysoko ubezpieczony, że więcej płacić nie mogę, że i te premie płacę z wielkim wysiłkiem. Z ołówkiem w ręku przekonał mię ten genialny człowiek, że z łatwością będę mógł płacić jeszcze wyższą premię asekuracyjną, ale przedtem musiałem mu dokładnie podać, jakie mam dochody, jakie wydatki, jakie długi, słowem wydobył ze mnie wszystko, jak na spowiedzi i na tej podstawie przekonał mię, że powinienem jeszcze raz się ubezpieczyć i że mogę płacić. Byłem już prawie gotów do interesu, ale na szczęście przypomniałem sobie, że już przedtem kilka razy w ten sam sposób mię przekonano o mojej sile płatności, a ja przy płaceniu każdej premii stękam, jak lokomotywa. Ażeby się pozbyć inspektora, przyrzekłem mu, że się ubezpieczę, ale później, bo dziś nie mam czasu. To był ten fatalny błąd, który potem mścił się na mnie długo i jeszcze nie ma końca.

Od tej chwili nie mam spokoju. Od roku pan inspektor odwiedza mię dwa razy dziennie, a gdy mnie w domu nie zastaje, mówi moim domownikom że na mnie chętnie poczeka. Składa zarzutkę, siada przy mojem biurku, czyta moje listy i zaczęte odpowiedzi, wypala mi wszystkie papierosy, przegląda

książki, załatwia swoją korespondencyę, jest, jak u siebie w domu. W tym czasie ten genialny człowiek poznał wszystkich moich krewnych, przyjaciół i znajomych, bardzo wielu z nich ubezpieczył, a jednego, który nie mógł się ubezpieczyć, doprowadził do samobójstwa. Często zagląda do naszej kuchni, daje żonie różne wskazówki i rady, poznał naszą kucharkę i ubezpieczył jej narzeczonego. Mam jakąś dziwną słabość do tego człowieka i choć z całego serca pragnąłbym go się pozbyć, nie mogę go za drzwi wyrzucić. Przyrzekam mu z dnia na dzień, że się ubezpieczę, a nie mogę mu tego odmówić, bo stał się dla nas prawą ręką i przyjacielem. Na migrenę, reumatyzm, ból zębów i inne domowe choroby zna ten człowiek tysiąc środków, z których ani jeden nie pomaga. I jak takiego wyrzucić? Braliśmy się z początku na różne sposoby. Żona odchodziła rano do rodziców i całymi dniami nie pokazywała się w domu, ja siedziałem w kawiarni i wracałem późnym wieczorem. Lecz w domu mówiła nam sługa, że p. inspektor był sześć razy i kazał powiedzieć, że przyjdzie jutro.

Ścigał mię w mieście i niejeden z moich znajomych był przekonany, że uciekam przed dzikim wierzycielem. Nieraz, wracając do domu, widziałem inspektora wchodzącego do naszej kamienicy. W początkach tej plagi sądziłem, że lepiej będzie przeczekać na ulicy, bo inspektor nie zastawszy mnie w domu odejdzie.

Gdzie tam! Czekałem nieraz godzinami na deszczu lub śniegu, a jego nie było widać. On siedział w ciepłym pokoju u mnie, a ja stałem na mrozie, lub na deszczu pod dziurawym parasolem.

Teraz bywa już u nas stale i jest u mnie w domu pierwszym gospodarzem. Wie, gdzie co leży a gdzie

powinno leżeć, co jest załatwione, a co ma być załatwione, nakręca nam zegary, często zostaje na obiad a onegdaj wypowiedział naszej kucharce posadę, bo mu za późno podała wodę. Dwa razy dziennie przedkłada mi do podpisania arkusz z wnioskiem na ubezpieczenie, a że ja go nie podpisuję, więc wytłumaczył żonie, że jestem kiepskim mężem, bo nie dbam o jej przyszłość na wypadek mojej śmierci. I moja żona od kilku tygodni chodzi ze spuszczonym na kwintę nosem. A ja w chwilach samotności, co prawda, bardzo rzadkich, padam na kolana, wznoszę ręce ku niebu i pytam ze łzami w oczach:

— Kiedy to się skończy? Kiedy to się skończy!?

W salonie mód.

Znajoma pani prosiła mnie, abym jej towarzyszył do magazynu mód i pomógł jej wybrać wiosenny kapelusz. Wzięła mię z ulicy, gdzie miałem zamiar po obiedzie wstąpić do kawiarni.

— Potrwa tylko chwileczkę — powiada — bo ja szybko się decyduję.

Wstąpiliśmy do jednego z największych salonów mód. Bardzo przystojna panienka podawała jeden kapelusz po drugim, a moja towarzyszka mierzyła, stawała przed lustrem, kręciła noskiem i pytała mnie o zdanie.

— W tym kapeluszu wygląda pani doskonale.

— Pan przy każdym tak mówi, ten do niczego, on stosowny dla żony konduktora ciężarowego pociągu; proszę o jeszcze inny,

Panienka była niezmordowana w podawaniu i zachwalała każdy kapelusz, a magazyn był niewyczerpany.

Ale i następne kapelusze były do niczego. Jeden był za strojny i — jak twierdziła moja znajoma — odpowiedni dla kabaretowej śpiewaczki, drugi był za mało strojny i stosowny dla pokojówki. Jeszcze inny nadawał się dla starszej pani z brodawkami, dalszy dla aptekarzowej z małego miasta, dla żony rzeźnika,

dla czterokrotnej rozwódki, dla starszej otyłej brunetki, dla żony emerytowanego radcy, dla mecenasowej z prowincyi, dla chórzystki bez głosu, dla profesorki języka francuskiego i angielskiego, dla egzaminowanej masażystki. Każdy kapelusz miał inne przeznaczenie i nadawał się dla kogo innego, tylko nie dla mojej znajomej.

W innych kątach inne panie mordowały inne panienki.

Byłem bardzo zmęczony, a za papierosa, którego tu palić nie wypadało, byłbym dał trzy strojne kapelusze.

Niewyczerpany magazyn wyczerpał się po trzech godzinach.

— Więc widzę — rzekła moja towarzyszka — że pani niema nic...

— To jeszcze ciągle nic? — spytałem bolesnym głosem, a panienka dodała:

— Z tych czterdziestu kapeluszy było kilka bardzo stosownych dla pani.

— I mnie się tak zdaie — wtrąciłem, ażeby raz skończyć, bo czułem, że mdleję.

— Ani jeden, ani jeden — rzekła moja znajoma — zresztą proszę mi jeszcze raz pokazać ten pierwszy z czarną kokardką.

— Mówiłem, że pani zostanie przy pierwszym...

— Pan nie rozumiesz się nic a nic na kapeluszach...

Zmierzyła.

— Do niczego, proszę mi pokazać drugi.

— Ja widzę — powiadam — że pani zaczyna na nowo od początku, a ja się spieszę do teatru, bo dochodzi siódma...

— Wzięłam pana do pomocy, a pan tu całe popołudnie grymasi... Idź pan, ja jeszcze chwilkę zostanę...

Uciekłem. Od kilku dni spać nie mogę, bo chodzą mi po głowie kapelusze, kokardy, wstążki, pióra, kwiaty. A moja znajoma była już w sześciu innych magazynach i nie może znaleźć nic stosownego.

Wszystkie kapelusze są do niczego.

Dwuletnia kobieta.

Inka jest dwuletnią dziewczynką i ma już wszystkie cechy kobiety.

Rano chętnie sypia do późna, a gdy wstaje ma kiepski humor, albo jest bardzo zamyślona, przyczem nie myśli o niczem. Potem przegląda swoje gospodarstwo z takiem zajęciem, że nie pamięta nawet o podanem śniadaniu. Jest bowiem zawołaną gospodynią i tak długo czyści, ustawia i przestawia swoje zabawki, aż się połamią w kawałki. Potem prosi o nowe.

Inka ma trzy lalki, z których najstarszą nazywa swoją siostrą, najpiękniejszą zamianowała córką, a najbrzydszą uważa za swoją przyjaciółkę. Na noc bierze do swego łóżka wszystkie trzy lalki: córkę kładzie obok siebie, trzymając ją przez noc całą w objęciach, siostrę każe sobie kłaść pod poduszkę, a przyjaciółkę układa do snu u stóp swoich. Rozmawia z niemi do późnej nocy, nie dając im przyjść do słowa, a gdy sądzi, że przyjaciółka już zasnęła, obgaduje ją przed córką i siostrą bez litości. Najszczerze kocha córkę, którą pokazuje pierwszą każdemu gościowi, chwaląc jej wielkie przymioty. Potem dla kontrastu pokazuje przyjaciółkę, uśmiechając się chytrze i badając minę gościa. Gdy gość nieznający się na rzeczy pochwali

bezmyślnie przyjaciółkę, Inka wyrzuca ją do kuchni i staje się śmiertelnym wrogiem gościa.

Inka lubi mężczyzn, komplementy i pieniądze. Mężczyzn lubi tylko młodych, wesołych i zabawnych, choć niemądrych, nienawidzi starych i brodatych, chociażby posiadali największe zalety ducha. Z kobietami chętnie się bawi, ale po ich odejściu krytykuje je i długo obmawia, a czasem nawet wprost wyśmiewa. Gdy przyjdzie do domu jakaś obca pani, Inka ogląda ją od stóp do głowy, zatrzymując się najdłużej na kapeluszu, do którego jeszcze potem kilka razy wraca. Nieraz nawet prosi, aby jej kapelusz przymierzono. Za komplementami przepada, a wzamian za nie gotowa najgłupszego uważać za mędrca. Zna się na żartach i chętnie je przebacza, tylko nie wtedy, gdy ją kto żartem nazwie niepiękną. W takich razach wybucha płaczem podobnie, jak wtedy, gdy jej się nie daje pieniędzy, którymi chętnie się bawi krótko, poczem je wyrzuca lub gubi.

Wybierając się na spacer, długo nie może się zdecydować, jaką ma ubrać sukienkę i podczas ubierania kilka razy zmienia decyzyę. Na spacerze zatrzymuje się przed każdą wystawą i każe sobie wszystko kupić, bo wszystko jej się podoba. Z innemi dziećmi wdaje się chętnie w rozmowę, której nigdy nie kończy.

Wróciwszy ze spaceru do domu, ma bardzo wiele do opowiadania, ale urywa na samym początku, bo, zapomina, o czem chciała mówić. Mówi bardzo wiele, a na pytanie odpowiada przeważnie co innego. W pauzach myśli nad tem, co przedtem powiedziała i nieraz sama śmieje się z tego.

Małemu kuzynkowi, który ją odwiedza, nie pozwala całować się z lalką, a gdy raz to uczynił

ukradkiem, rzuciła mu lalkę w twarz i znać go nie chciała.

Inka jest piękną i ciekawą, wszystko chętnie ogląda, ale najchętniej siebie w lustrze. Przepada za sekretami, które zaraz po dosłyszeniu opowiada w kuchni służącej i z wielką ciekawością podsłuchuje rozmowę starszych, zwłaszcza, gdy o niej mowa.

Inka ma dwa lata i ma już wszystkie cechy kobiety.

Człowiek z sekretem.

Mam znajomego na poważnem stanowisku, który, ile razy mię gdzie spotyka, chwyta mię za ramię, ciągnie na bok i mówi mi do ucha jakiś sekret. Wszystko, co mi ma do powiedzenia, jest sekretem, głęboką tajemnicą, o której jednak wróble na dachu śpiewają. Nawet wtedy, gdy obaj jesteśmy sami, bez świadków, ciągnie mnie mój znajomy na bok i szepta mi półgłosem jakąś tajemnicę do ucha.

Znam go od lat kilku. W pierwszych czasach naszej znajomości brałem go zbyt seryo, a ile razy prowadził mię na bok, aby mię wtajemniczyć w jakąś nowinę, otwierałem szeroko oczy i usta, nastawiałem ucho i słuchałem z zapartym oddechem. Ale każdy sekret był dla mnie niespodzianką: znałem go dokładnie od dawna. Przekonawszy się, że wszystkie nowiny mojego znajomego są stare, przestałem go słuchać z uwagą.

Nastawiałem mu ucho, nie słuchając wcale opowiadania, myśląc o czem innem, albo nawet czytając jakiś dziennik. I tak postępuję z nim dotychczas. Ale mój system słuchania z naprężoną nieuwagą, wcale go nie odstrasza, ani zniechęca. Opowiada mi dalej i ciągle ma coś nowego do opowiadania. Nie mam pojęcia, o czem mi ten człowiek mówi, co parę dni od

lat kilku, a gdyby mi kazał zaraz po opowiadaniu sekretu powtórzyć bodaj pobieżną treść tej tajemnicy byłbym w prawdziwym kłopocie.

Najgorsza, że mój znajomy lubi opowiadać bardzo szczegółowo i każdy sekret trwa co najmniej kwadrans, często półgodziny lub dłużej. Na nieszczęście sekret, jak sekret staje się ku końcowi coraz ważniejszy, a mój znajomy, krzycząc coraz głośniej, zbliża się do mego ucha coraz więcej tak, że tuż przed zakończeniem opowiadania trzyma już połowę nosa w mojem uchu, co mi bardzo utrudnia słuchanie.

W takich razach odchylam się nieco i cofam ucho, zostawiając jego nos między niebem a ziemią.

Podczas dalszego opowiadania przyjaciel mój posuwa powoli coraz dalej swój nos i po chwili mam go znowu w uchu. Jeśli po raz drugi próbuję odsunąć się, aby uwolnić wystraszone ucho od niemiłego lokatora, przyjaciel obejmuje mię za szyję, jakby chciał powiedzieć: „czekaj, bo teraz następuje najważniejsze“, i nie puszcza mnie za żadną cenę, aż do ukończenia sekretu. I tak nieraz opowiada mi jakąś długą tajemnicę, nie wyjmując przez całą godzinę swego nosa z mojego ucha i krzycząc coraz głośniej. Po takim sekrecie mam zawsze szum w uszach.

Raz, widząc go w kawiarni zdaleka i przeczuwając, że zaraz zbliży się do mnie z nowym sekretem, zatkałem sobie ucho watą. Istotnie zbliżył się, pociągnął mię na bok i nachyliwszy się do mego ucha, zaczął szeptać półgłosem. Ale zauważył watę. Wyciągnął ją dwoma palcami i trzymał ją przez cały czas opowiadania. Dopiero, gdy skończył sekret, włożył mi napowrót watę, przez pomyłkę do drugiego ucha.

I tak męczy mię ten człowiek wszędzie, gdzie mię spotyka: w kawiarni, na ulicy, na balach, w parku i w teatrze, gdzie najchętnie kupuje sobie miejsce obok mojego i zawsze i wszędzie opowiada mi coś w największym sekrecie, prosto do ucha, które, chcąc mi otworzyć, zatyka własnym nosem.

Tramwaj konny.

(Studyum brukowe.)

Wczoraj ujrzałem na mieście wóz tramwaju konnego po długiem niewidzeniu i mając łzy w oczach, jak wtedy, kiedy się spotyka dawnego znajomego, wlazłem do środka zupełnie bez potrzeby a tylko na to, żeby się trochę przejechać i nacieszyć się nim jeszcze zanim go sprzątną i usuną.

Tramwaj konny należy bowiem do tych rzeczy, które są, a których niema. Jest ideałem, do którego się nieraz długo tęskni, a którego osiągnąć nie można. Jest, jak to szczęście: długo go oczekujesz nadaremnie, a gdy nagle się zjawi, nie możesz z niego korzystać. Jest jak piękna, kapryśna kobieta — często upragniony, a gdy chcesz się do niego zbliżyć, jest zajęty, albo odwraca się do ciebie plecami i ucieka.

Tramwaj konny ma swoje zwyczaje i swoje zasady. Przedewszystkiem jest za powolny i za prędki, ma czas i nie ma czasu. Chcesz jechać naprzykład z placu Bernardyńskiego w stronę teatru. Jeśli czekasz na wóz na którym przystanku, to zobaczysz jeden, dwa, trzy wozy idące w stronę przeciwną, ale w stronę, w którą masz się udać, nie idzie ani jeden wóz, bo tramwaj ma dużo czasu i z końcowej stacyi nie wyrusza.

Gdy atoli zdaleka zbliżasz się dopiero do przystanku, to przeważnie spostrzegasz stojący już wóz tramwajowy i pędzisz do niego, ale on teraz nie ma czasu, udaje pociąg błyskawiczny i ucieka bez ciebie tak, że musisz potem gonić za nim bez tchu kilkadziesiąt kroków, czasem nawet bez skutku. Od tych zasad nie odstępuje nigdy i raczej obejdzie się bez koni, aniżeli bez nich. Dlatego przychodzi się do niego zawsze za wcześnie, lub za późno, a nigdy w porę.

Do zwyczajów tramwaju konnego należy także zasypianie na stacyach końcowych: plac Cłowy i rogatka Żółkiewska. Po forsownej jeździe smakuje drzemka, więc drzemie koń, wóz, a nawet konduktor, który czasem tak chrapie, jakby gardłem rznął twarde drzewo. Dlatego na tych końcowych stacyach zjeżdżają się czasem trzy, cztery lub więcej wozów i stąd się wypędzić nie mogą. Tam wzdłuż toru, na każdym przystanku, czekają naiwni i łatwowierni na tramwajowy wóz ratunkowy, a tu na końcowej stacyi jest zbiorowa sypialnia koni, wozów i ludzi.

Stąd przysłowie: komu trzeba koniecznie tramwaju konnego, nie musi nań czekać. Niech idzie piechotą lub weźmie dorożkę.

Gdyby stacya ratunkowa używała do swoich celów wozów tramwaju konnego, miałaby bardzo mało do czynienia. Pogotowie przyjechałoby do chorego akuratnie po pogrzebie.

Jako środek komunikacyjny jest tramwaj konny wprost nieoceniony i stąd jego zasługi. Przedewszystkiem pobudza do oszczędności. Nie mogąc się doczekać tramwaju, człowiek idzie piechotą i oszczędza wydatek. Dalej wspiera ruch i dochód dorożek. Wspiera dozorców kamienic: kto śpieszy się do domu przed „szperą“ przy pomocy tramwaju konnego, ten

z pewnością przyjeżdża po szperze i płaci. Z innych zasług wymieniam: przy pomocy tramwaju spóźniamy się do reatru na złe sztuki, rezygnujemy z koncertów Filharmonii. namyślamy się nieraz, mając się oświadczyć o rękę panny. Nieszczęśliwe wypadki należą tu do rzadkości, bo tramwaj konny jest zbyt rzadkim i zbyt powolnym, aby mógł spowodować katastrofę.

A jednak tramwaj konny robi we Lwowie dobre interesy. Obliczono kiedyś, że gdyby od czasu jego istnienia byli nim jechali ci wszyscy, którzy mieli zamiar jechać, a nie jechali, bo nie mogli się wozów doczekać, dochody tramwaju dałyby sumę, za którą można zakupić cały Lwów na własność.

Dorożka.

Lwowska dorożka jest jedną z najcenniejszrch pereł w koronie lwowskich osobliwości i dlatego należy jej się przynajmniej krótka monografia.

Dorożka jest krytą t. j. ukrywającą się przed policyą ze względu na swą czystość i wygląd, albo otwartą t. j. przekraczającą otwarcie taksę. Jest jednokonną, albo parokonną, która od jednokonnej różni się wyższą taksą.

Dorożka ma taksę, która służy na to, żeby ją przekraczano i żeby publiczność miała jeszcze jedną sposobność zbliżenia się do policyi. Tej taksy żadna szanująca się dorożka nie uznaje, chyba w obliczu policyanta, który umie czytać.

Dorożka lwowska ma swoje zwyczaje i swoją metodę jazdy. Jako nigdy nieczesana i niemyta, odznacza się jakimś nieodkreślonym bliżej zapachem, którym się jeszcze korzystnie odróżnia od tramwaju konnego. Dorożka lwowska myje się sama w ulicach, gdzie jest błoto rzadkie. To też dorożka lwowska wygląda po jednym kursie, jakby wracała z wojny. Siedzenie w dorożce bywa często tłuste i lepkie, co umożliwia pijanym pasażerom silne trzymanie się w dorożce, z której bez tego kleju mogliby wypaść na bruk. Dorożka lwowska jedzie przeważnie powoli,

zwłaszcza, gdy pasażer śpieszy się do pociągu lub na terminową rozprawę do sądu. Wtedy najgłośniejsze błagania pasażera odbijają się o głuche plecy naczelnika dorożki, jak groch o ścianę. Ale gdy dorożka jedzie próżna głównemi ulicami podczas największego ruchu, wtedy pędzi jak spłoszony automobil i wywołuje popłoch. Podczas wielkich zjazdów, gdy popyt na nią jest wielki, dorożka nie rusza się z miejsca i powiada, że jest zajętą, od którego to zajęcia można ją atoli uwolnić przez zapłacanie potrójnej taksy z góry. Ale w zwykłym czasie, kiedy człowiek ani myśli jechać dorożką, ona pyta, czy „dawać“ i zajeżdża mu pod nos, zmuszając go do okrążania lub uciekania.

Są jeszcze fiakry zamknięte, t. j. takie, w których drzwiczki nigdy się nie zamykają, a pasażer uprzyjemnia sobie nudną podróż ciągłem trzaskaniem i zamykaniem drzwiczek. Te są dla pijanych pasażerów bardzo niewygodne. a zdarza się nawet, że dorożka przyjeżdża do celu bez pasażera, który wypadł po drodze z pudła i został na ulicy. Potem musi wracać i szukać po rowach pasażera, ażeby z niego ściągnąć taksę lub surdut.

W niedzielę popołudniu jest dorożka pijana i wtedy zazwyczaj wszczyna spory kończące się na policyi. Czasem w tym stanie porywa śpiewaczki i uwozi je z brylantami i matkami, aby dzienniki miały sensacyę. Także chętnie zderza się z tramwajami lub samochodami, co przypisać należy wrodzonej złośliwości koni dorożkarskich, które gardzą modnymi wehikułami, a na automobil patrzą z taką dumą, jakby chciały powiedzieć: „A z ciebie przecież nie będą kiełbaski“.

Dorożka lubi lekkie kobiety i ciężkich pijaków, zaś nienawidzi policyi i samochodów, które nazywa waryatami. Także nie znosi pieszych przechodniów których obryzguje chętnie błotem i w tym celu pędzi tuż przy trotuarze. Takie i jeszcze inne są metody lwowskiej dorożki.

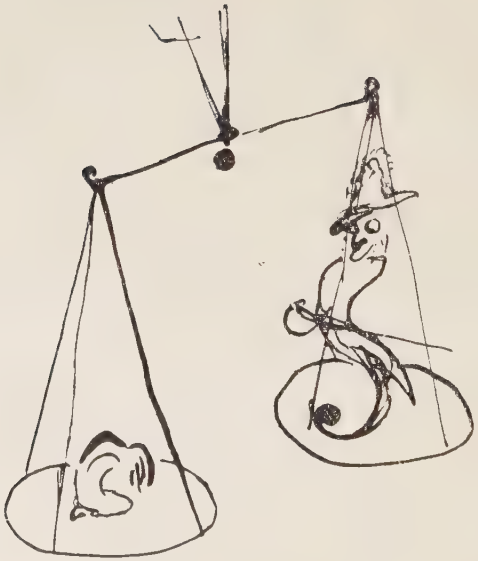

Listy reportera.

I.

20. sierpnia 1907

Zaczyna się, jesień więc wyjechałem na lato. Wyjechałem oczywiście w góry. Wysoki Zamek był mi za niski, wzgórze powystawowe za dalekie, więc wybrałem Jaremcze, Tartarów, Mikuliczyn i Worochtę. Nie mieszkam stale w żadnej z tych miejscowości, ale wędruję z jednej do drugiej.

Pierwszą noc chciałem spędzić w Jaremczu, ale wszystkie pieniądze, jakie miałem na cały pobyt były zbyt małe, aby niemi zapłacić jedną noc w hotelu. Dlatego poradził mi właściciel hotelu, abym poszedł do Mikuliczyna.

W Mikuliczynie jest hotel tuż przy dworcu po prawej ręce. Hotel składa się z dwóch numerów. W jednym numerze mieszka gospodarz z bardzo liczną familią, w drugim jest skład wiktuałów, syfonów i zimowej garderoby familiii gospodarza. Ale gdy przyjeżdża jakiś ważny gość, opróżnia się drugi numer, wnosi łóżko, karafkę wody i ręcznik. Właśnie dla mnie urządzono ten drugi numer. — W nocy przyszedł do mnie gospodarz, aby się zapytać, czy dobrze śpię i czy mi czego nie potrzeba. Zażądałem „Zacherlinu", ale gospodarz nie zrozumiał o co chodzi i przysłał mi starą hucułkę, która ma wszystkie zęby. Uciekłem przez okno, a gdy wróciłem do pokoju, nie było już nikogo. Zasnąłem twardo.

Familia gospodarza jest bardzo dbała o swoich gości i przez całą noc uważa, czy gość nie uciekł. Rano zapłaciłem za hotel i pojechałem do Tartarowa. Tu mówiono mi, że panuje epidemicznie malarya, więc uciekłem do Worochty. Worochta jest piękna, ale tylko wtedy, kiedy niema deszczu. W deszczu cała Worochta ziewa i dlatego spóźnia się poczta. Tu wynająłem sobie pokój kawalerski. Mój pokój jest śliczny, ale tylko wtedy, kiedy niema deszczu. Podczas deszczu nie można siedzieć w pokoju, ani stać, ani leżeć, ani wisieć, a musi się pływać, jeżeli się pływać umie i ma przy sobie kąpielowe spodeńki.

Mój pokój kawalerski opiszę potem osobno, ale szanowna Redakcya będzie musiała płacić za ten opis osobno, bo pisać będę nie atramentem ani ołówkiem, tylko krwią z pod serca i łzami. Usługuje mi hucułka. Hucułki są bardzo piękne, ale tylko podczas pogody, kiedy niema deszczu. Podczas deszczu zmoczona hucułka wygląda niedobrze i kapie jej ze wszystkich stron, jak z zepsutego syfonu. Ale o hucułkach napiszę osobno, tylko przedtem muszę przeczytać parę anakreontyków, ażeby wpaść w odpowiedni nastrój.

Ponieważ od dwóch dni w Worochcie pada deszcz, przeto wybrałem się dzis do Jaremcza, ażeby się przekonać, czy tu niema pogody. Udałem się odrazu do restauracyi, gdzie mnie wszystko denerwowało, a najwięcej rachunek płatniczego. Piłem tylko kawę, a on mi policzył obiad, podwieczorek i kolacyę. Tłumaczyłem mu, że to musi być pomyłka, ale dał mi słowo honoru, że on jest nieomylny, więc dałem mu zaliczkę i przyrzekłem mu zapłacić resztę na drugi raz. Dlatego w Jaremczu już niestety nie będę, chyba, że ów płatniczy, powodowany wyrzutami sumienia, powiesi się jeszcze w tym tygodniu.

II.

21. sierpnia 1907.

Wczorajszy list pisałem w roztargnieniu i dlatego nie wiem, czy mnie Szanowna Redakcya należycie zrozumiała. Moje roztargnienie miało dwa powody. Naprzód ukąsiła mnie gęś. Nie wiedziałem o tem, czy gęś kąsa ludzi, bo dotąd słyszałem tylko, że człowiek kąsa gęś. Ale górskie gęsi, jak w ogóle wszystko, co górskie, są zupełnie odmienne od miejskich gęsi. Potem przyszło mi na myśl, że gęś ta mogła być wściekłą i że wobec tego będę zmuszony pojechać do zakładu wścieklizny dra Bujwida do Krakowa na kuracyę. Równocześnie zaś myślałem nad tem, dlaczego fizykat miejski w Worochcie pozwala gęsiom chodzić bez kagańca. To był jeden powód mego roztargnienia. Drugi był inny. Dałem się namówić jakiemuś letnikowi, aby z nim wydrapać się na bardzo wysoką górę. Podczas tej drogi Szan. Redakcya parę razy była narażoną na utratę cennego współpracownika. Nie byłbym tam polazł, ale mi mówił, że tam pięknie. Gdyśmy już po kilku godzinach byli na górze, nic nie widziałem prócz nieba. Mój towarzysz kazał mi patrzeć na dół mówiąc, że na dole jest pięknie. Teraz nie zrozumiałem, na co ja miałem tyle pracować nogami i rękami, ażeby się wygramolić na górę, skoro pięknie jest na dole. Splunąłem więc i odrazu rozpocząłem powrót, który był jeszcze przykrzejszy, aniżeli chodzenie po lwowskich trotuarach i bardziej niebezpieczny. Niema tu trotuarów a kamienie, które są, nie są poukładane w porządku, skutkiem czego ludzie kręca kark i powiadają, że jest w górach taki zwyczaj. W połowie drogi przyszliśmy na takie miejsce, gdzie musiałem usiąść i siedząco przebyć dalszą drogę. Tej podróży nigdy nie zapo-

mnę. Jeździłem kiedyś konno, nawet bez siodła, jeszcze dziś doskonale jadę na karuzelu, więc zdawałoby się, że taka podróż na siedzeniu nie powinna na mnie robić wrażenia. Niestety, było inaczej. Tragizm sytuacyi powiększał się w miarę, jak się wycierała odnośna część garderoby i trzeba było dalszą podróż odbywać niejako — boso. Teraz rozpacz moja doszła do zenitu i parę razy zamknąłem oczy myśląc o samobójstwie. Mój towarzysz był przedemną tak daleko, że nawet nie słyszał mego stękania. Rozglądałem się dokoła, czy trzaśnie we mnie jakiś piorun, któryby mię odrazu zrzucił z tej wysokości, bo sam nie miałem odwagi rzucić się w dół.

Nie było innej rady — trzeba było jechać dalej. Płakałem, ale jechałem. Po całogodzinnej męczarni znalazłem się nie dole w stanie więcej, niż opłakanym. Wyjąłem lusterko, aby zobaczyć, czy nie osiwiałem. Wyglądałem bardzo źle, ale to jeszcze nic w porównaniu z tem, jak wyglądać musiałem z tamtej strony, skoro biegły za mną tłumy pauprów wśród śmiechów, zaglądając mi w to miejsce, na którem odbywałem górską podróż. I to był drugi powód mego roztargnienia. Od jutra zaczynam dalej zwiedzać okolice, a dokładne sprawozdania przysłać będę z regularnością pociągów na linii Stanisławów-Körösmező które się stale spóźniają.

III.

28. sierpnia 1907.

Góry tu są piękne. ale zbyt wysokie. Taka czternastopiątrowa góra wygląda w porównaniu z naszym Wysokim Zamkiem bardzo nędznie. Niema tu ławek, ani ścieżek wygodnych, ani alei, ani pawilonków dobroczynnych, ani restauracyi z muzyką wojskową, jednem słowem niema tu nic. prócz wielkich kamieni i małych kamieni, które służą na to, aby sobie ludzie na nich nogi wykręcali i głowy rozbijali. Mimoto letnicy, a raczej turyści ciągle patrzą z dołu na szczyty, a gdy ich już karki bolą z ciągłego zadzierania głowy, wyłażą na szczyty i patrzą na dół.

Rozumie się samo przez się, że ja się w takie głupstwa nie bawię i robię wycieczki wyłącznie pociągami, które tu kursują często i stanowią prawdziwą wygodę dla letników. Główną wygodą jest to, że do pociągu nie trzeba się wcale spieszyć — bo pociąg czeka tak długo na stacyi, aż zejdą się wszyscy letnicy, mający chęć zrobienia wycieczki za piętnaście centów. Pociągi spóźniają się najwyżej o pół godziny, chyba, że który z letników wymaga dłuższej zwłoki. W takim razie czeka się dłużej. Ale za to potem jedzie się prędzej.

Wczoraj pojechałem na granicę węgierską do Körösmezö. Niech Pan Bóg broni, aby szanowna drukarnia w powyższej nazwie popełniła jakiś błąd, bo w takim razie Węgrzy wytoczyliby nam proces o koszlawienie ich języka. A więc Körösmezö! W mieście tem, a raczej w tej wsi najlepiej podobał mi się „Dom pod koroną“.

Jest to hotel. restauracya, kawiarnia i cukiernia — wszystko w jednym pokoju, jest najtańszym lokalem

pnblicznym w świecie. Zamówiłem kawę a znakomity kelner Welwel, który nosi tylko spodnie, koszulę i kapelusz, poprosił, bym chwilę zaczekał, to się zrobi świeża kawa.

Czekałem. Po kwadransię spytał mnie Welwel, czy nie napiję się tymczasem piwa, albo wody sodowej, bo kawa się dopiero gotuje i będzie dopiero potem.

Odmówiłem, bo woda była ciepła a piwo stare, i powiedziałem, że chcę czekać na kawę. Welwel po drugim kwadransie zjawił się przy moim stole, przynosząc mi jakiś klucz. Spytałem, co to ma znaczyć, a zamyślony Welwel po chwili namysłu bąknął pod nosem:

— To ja właściwie miałem pójść, a myślałem, że pan chce pójść.

Minął znów kwadrans. Zadzwoniłem. Welwel przyleciał, trzymając w rękach dolną garderobę.

— Pan pewnie na tę kawę... zaraz będzie, już się gotuje.

Po tych miłych słowach znikł.

Minął znów kwadrans. Welwel przystąpił do mego stołu i skrobiąc się w głowę przez odsunięty kapelusz, rzekł bardzo zaspanym głosem:

— Kawy nie będzie, bo się mleko za długo gowało i teraz całkiem jest kwaśne, do niczego...

Opuściłem natychmiast dom „Pod Koroną", nie wydawszy ani centa. Tak tanio nie spędziłem jeszcze godziny w żadnym lokalu.

Zresztą jest Körösmezö wcale ciekawą węgierską dziurą, gdzie się mówi po niemiecku, po żydowsku, po rusku, a trochę po węgiersku.

Ponieważ byłem tam na samego Stefana, który to dzień jest świętem narodowem u Węgrów, przeto

podziwiałem w każdym domku chorągwie trójbarwne i uroczystą bójkę pijanych chłopów na samym moście. — Urzędnicy kolejowi, którzy podobni są strojem do naszych oficerów od huzarów, odwracają się do austryackiej granicy plecami — chyba, że zobaczą tam jakąś piękną kobietę, wobec której wszelka polityka ustępuje na bok.

Wróciłem do Worochty cały i zdrów, a nawet już znałem dwa ładne wyrazy węgierskie, które po drodze, w tunelu, ze strachu wypadły mi z pamięci.

IV.

27. sierpnia 1907.

Od kilku dni mamy deszcz i dotkliwe zimno i dlatego wybrałem się pociągiem do Stanisławowa. Na dworcu w Worochcie kupiłem bilet i dałem trzy korony, z których miałem otrzymać 10 centów reszty, ale młody kasyer kolejowy trzy razy liczył na palcach, rachował ołówkiem na papierze, wreszcie ściągnął jeden but i spocił się, a nie mógł obliczyć, ile mi ma wydać, wobec czego zwrócił mi trzy korony każąc sobie zapłacić „drobnymi“. Nie miałem drobniejszych, a chcąc młodego, a już tak zdolnego kasyera wyratować z wielkiego kłopotu. powiedziałem mu, że należy mi się 10 centów reszty. Ale nie uwierzył i żądał koniecznie drobnych. Musiałem zmienić. koronę, aby sobie nie narazić władzy i dostałem bilet.

Po drodze wyglądałem przez okno i widziałem wzdłuż toru wysokie góry, a na tych górach wysokie drzewa, a na tych drzewach długie sznury, a na tych sznurach próbowali wieszać się letnicy z nudów i zimna. Ale każdy z tych letników był tak grubo i ciepło ubrany, każdy był taki ciężki, że urywały się sznury, łamały się z trzaskiem gałęzie i żaden nie mógł się należycie powiesić. Nagle pociemniało mi w oczach, bo wjechaliśmy do tunelu, co bardzo nie podobało się widocznie panienkom, siedzącym w towarzystwie akademików w wagonie, bo prawie wszystkie zaczęły wołać: fe, daj pan spokój, puść pan! itd. Ale dopiero wtedy tak wołały, gdy któryś z pasażerów nieproszony zaświecił zapałkę, skutkiem czego nastała jasność, zbyt słaba, żeby było całkiem jasno, a zbyt wielka żeby było zupełnie ciemno. Zresztą jechało się bardzo przyjemnie, zwłaszcza od chwili, kiedy jakiś

pasażer chory na żołądek i wydający ze siebie nieprzyjemne tony, zdecydował się wysiąść w Jaremczu.

Na peronie w Jaremczu było mnóstwo pięknych pań, które były jeszcze piękniejsze, gdy pociąg ruszył z miejsca, bo każda z uprzejmą miną żegnała pociąg i pasażerów. Na wszystkich stacyach wsiadają nowi pasażerowie z tobołkami i koszami, bo letnicy tak strasznie uciekają, jak publiczność premierowa po trzecim akcie „Dobrodzieja złodziei". Dlatego dalsza jazda jest bardzo urozmaicona, a na głowy pasażerów spadają tłumoki, koszyki, flaszki, walizki, lewatywy i inne przynależności wracających letników.

W Stanisławowie wysiadłem znudzony podróżą i bardzo skwaszony, a mimo to niejedna z pań, na peronie obecnych, byłaby mię chętnie oblizała. Byłem bowiem oblany z góry na dół sokiem malinowym, który wylał się z rozbitej na mojej głowie flaszki.

Dorożką pojechałem do miasta i podziwiałem samo miasto, bo ludzi w niem nie było. Dorożkarza pytałem, gdzie są mieszkańcy, a on mi mówił, że częścią są u wód, a częścią w kryminale z powodu jakiejś kolejowej awantury. Pytałem go dalej, czy kłócili się z kasyerem kolejowym w Worochcie, ale powiedział mi, że ich awantura była jeszcze gorsza.

Zresztą jest Stanisławów ładnem miastem.

V.

31. sierpnia 1907.

Siedzę jeszcze ciągle w górach i na przemian: naprzód podczas deszczu czekam przez kilka dni na pogodę, potem podczas pogody czekam przez kilka dni na deszcz. A ponieważ deszczu łatwiej się tu można doczekać, niż pogody, przeto więcej przesiaduję w moim pokoju, który mieści się w pięknej willi. Willa ta niestety nie ma jeszcze nazwy, bo gospodarz od trzech lat nie może się zdecydować, jak ma nazwać swoją willę. Gospodarz bowiem jest w swojej willi zakochany i powiada, że ta willa ma przed sobą piękną przyszłość, pomimo, że dopiero w tym tygodniu wicher zerwał jej dach i zaniósł go na sąsiednią willę, która nie miała dachu. Ale podczas silnych wichrów sam gospodarz podtrzymuje willę laską z prawej strony, a gospodyni parasolem z lewej strony i tak wszyscy letnicy mogą spać spokojnie. Ale tylko podczas pogody.

W tej to willi zajmuję pokój, a raczej pokoik, który jest tak szczęśliwie położony, że mogę rozmawiać przez ściany z moimi sąsiadami, a nawet kontrolować przez szpary między deskami, co oni robią, kiedy wstają, kiedy się spać kładą i kiedy chcą się wieszać z nudów. W tym ostatnim wypadku mam obowiązek wyłamać deskę, wtargnąć do sąsiada i odciąć go, bo gospodarz wymawia sobie na początku, że lokatorowie wszyscy bez wyjątku mają się starać o spokój i porządek w willi. Willa jest zbudowana z desek, a deski nie trzymają się w kupie, aby dobre powietrze mogło swobodnie wchodzić i wychodzić z pokoju.

Pokoik mój umieszczony jest na piętrze i dlatego wchodzi się do niego po drabinie, za którą mój gospodarz osobnej opłaty nie żąda. Najgorzej jednak,

jeśli kucharka gospodarza albo sama gospodyni zabiera drabinę do stajni lub do ogrodu, bo wtedy nie mogę się wydostać z pokoju i muszę z góry wołać i błagać i modlić się do gospodyni, aby mnie zdjęła z góry. Onegdaj przesiedziałem cały dzień w moim pokoju, bo gospodarze i wszyscy letnicy naszej willi wybrali się na wycieczkę — a mnie zapomnieli zwrócić drabinę.

Pokoik mój jest mały, ale zato piękny. Łóżko moje stoi wskośnie i dzieli mój pokój na dwa pokoje, a raczej na przedpokój i właściwy pokój; łóżko jest granicą. W przedpokoju jest u mnie pełno, bo stoi miednica i karafka z wodą, zato w samym pokoju jest nawet ciasno, bo stoi tu szafka nocna i krzesło. Na spluwaczkę niema miejsca, dlatego w razie potrzeby pluję do ogrodu, ale tylko wtedy, kiedy w nim niema dam. Przez szpary w podłodze zaglądam do sąsiadów na dole, gdzie mieszkają nawet panny. Może to miał na myśli gospodarz, kiedy oddając mi mieszkanie, mówił mi:

— Będzie pan miał pokój z pięknym widokiem, jak w raju.

Ponieważ do raju dostanę się dopiero po śmierci i jeszcze na razie nie wiem, jak tam wygląda, mam tu tymczasem przedsmak raju, który działa na mnie tak samo dobrze, jak górskie powietrze, kąpiel w Prucie, wspinanie się po drabinie, kokietowanie hucułek, przekomarzanie się z kasyerem kolejowym i inne rzeczy, które są zdrowe.

VI.

12. września 1907.

Wielce szanowny panie Redaktorze! Telegraficzne polecenie szanownej Redakcyi, aby przerwać moją naukową podróż po Galicyi i Bukowinie i udać się natychmiast na miejsce katastrofy kolejowej, otrzymałem, podróż przerwałem i zajechałem do Stanisławowa, gdzie wziąłem pokój w hotelu, rozebrałem się, wdziałem na nogi pantofle, zapaliłem fajkę i zacząłem zastanawiać się nad tem, w jakim właściwie celu szanowna Redakcya telegrafowała mi powyższe polecenie i do jakiego dyabła ja miałem przerwać podróż. Przedewszystkiem nie miałoby przecie żadnego sensu jeździć na takie nieszczęśliwe miejsca, gdzie wykolejają się pociągi. Ja wierzę w nieszczęśliwe miejsca i n. p. miasta, w którem raz w roztargnieniu ożeniłem się, od tego czasu unikam, jak zarazy. Po jakiego więc dyabła mam się pchać tam, gdzie dopiero wczoraj przewróciło się kilkanaście wagonów z pasażerami i narażać szanowną Redakcyę na utratę tak cennego współpracownika, perłę reporterów, oraz na koszta mojego pogrzebu pierwszej klasy, stosownie do mojego stanowiska.

Następnie powinna była szanowna Redakcya wiedzieć, że mam miękkie serce i czułe nerwy, skutkiem czego nie lubię patrzeć na żadne katastrofy, a nawet nie chodzę z zasady na premiery. — Zresztą mogła przecież szanowna Redakcya trochę zaczekać, dzień lub dwa, a potem przedrukować to wszystko, co napiszą inne dzienniki.

A na końcu muszę dodać, że łatwiej jest telegraficznie polecać, niż telegraficznie jechać, zwłaszcza, że w tamtych stronach pociągi wcale nie kursują, bo połamane wagony leżą na torze i absolutnie niemożliwem jest przez nie przejechać.

Na drutach telegraficznych ja nie pojadę, piechotą iść jest zadaleko, a balonów jeszcze niema, więc jak mam się udać na fatalne miejsce? Jeżeli szanowna Redakcya wynajdzie jaki sposób, to proszę mi napisać, a ja pojadę i potem przyszlę „list naocznego świadka“

Tylko proszę się spieszyć, bo już podobno uprzątnęli z toru ofiary i wyprostowali wagony, to nie będzie co widzieć.. A ja lubię pośpiech. — Co się zaś tyczy samej katastrofy, to zebrałem, gdzie mogłem następujące dane:

Katastrofa ta nie jest żadnym wymysłem, ani kaczką dziennikarską, ale owszem odbyła się należycie, tak, jak to podają inne dzienniki, i jak przepisuje regulamin kolejowy.

Gdzie to się stało, nie wiem napewne, ale gdzieś między Lwowem a Stanisławowem mniej więcej. Tak przynajmniej opowiadał mi kelner hotelowy, u którego, jeśli szanowna Redakcya poleci, mogę jeszcze zażądać bliższych informacyi co do samego miejsca powyższej katastrofy. Co do liczby ofiar, to mi informatorowie rozmaicie podają. Mój „lohndiner“ hotelowy powiada, że było paręset rannych, a kilkadziesiąt osób zabitych, natomiast pokojowa twierdzi, że wszyscy są zabici. Tę ostatnią wiadomość należy przyjąć z rezerwą, jako wielce przesadną.

Powodem katastrofy było prawdopodobnie wykolejenie, ale nie jest tu winną ani kolej, ani pasażerowie, tylko sam pociąg, a ponieważ w tym wypadku nie można zbadać stanu umysłowego winnego, przeto dopiero śledztwo wykaże właściwą przyczynę katastrofy.

Z personalu kolejowego *narazie* nikt nie poniósł szwanku. Nastąpi to chyba dopiero w procesie Stanisławowska dyrekcya kolejowa w każdym razie jest

niewinna, bo w chwili katastrofy nie było jej nawet na miejscu wypadku.

Oto, co zdołałem na razie zebrać. Reszta później. Donoszę zaś przy tej sposobności, że boję się wracać do Lwowa tym nieszczęśliwym torem i dlatego sam jeszcze nie wiem, kiedy wrócę. Zamierzam bowiem wracać przez Węgry. Wiedeń, Kraków, Przemyśl do Lwowa, co potrwa długo i będzie kosztowne. W tym celu czekam tu na koszta podróży.

VII.

15. września 1907.

Jestem. Wróciłem szczęśliwie do Lwowa pomimo, że koleje galicyjskie po krótkim wypoczynku wakacyjnym znowu wróciły do codziennych karambolów i katastrof. Za bilet kolejowy ze Stanisławowa do Lwowa zapłaciłem wprawdzie znacznie więcej, niż zwykle, ale zato jechałem znacznie dłużej, bo zamiast czterech jechaliśmy prawie dziewięć godzin. Krewni i znajomi, którzy mnie podprowadzili na dworzec stanisławowski, życzyli mi szczęśliwej podróży i płakaliśmy wszyscy, jak dzieci. Nawet konduktor miał łzy w oczach, a pakier nie mógł patrzeć na moje ryzykowne przedsięwzięcie i znikł wraz z moimi pakunkami. — Podróżni ociągali się bardzo pomimo, że już mieli zakupione bilety, a niektórzy z nich podarli bilety i wrócili do miasta, aby się przed podróżą w kościele wyspowiadać. Wszyscy mieli jakieś niedobre przeczucie, pomimo że to było dopiero w dwa dni po katastrofie, a katastrofy, jak wiadomo, powtarzają się zaledwie co siedm dni. Moi krewni i przyszli spadkobiercy radzili mi, abym się jeszcze namyślił, czy nie byłoby lepiej zostać, albo jechać ciężarowym pociągiem, który idzie wprawdzie powoli, ale zato ostrożniej.

Ale równocześnie rozgłoszono na dworcu, że na Bukowinie zderzyły się jakieś pociągi ciężarowe i spowodowały śmierć kilku kolejarzy. Radziłem się maszynisty, ale ten odpowiedział mi krótko, że u nas wszystko się zderza i wykoleja, tylko trzeba mieć szczęście. Postanowiłem więc jechać i tylko jeszcze namyślałem się nad tem, który wóz jest bezpieczniejszym. Powiedziano mi, że na wypadek zderzenia najgorsze są

przednie wozy, na wypadek wykolejenia niebezpieczne są tylne wozy, a środkowe są zawsze niebezpieczne. Bezpieczne są tylko te wozy, które zostają na torze, ale tymi nie zajedzie do Lwowa. Gdym wreszcie zdecydował się na jeden wóz, oświadczył mi konduktor, że jest to wóz dla pań. Na moją uwagę, że to mnie wcale nie przeszkadza, nic nie odpowiedział. Wlazłem więc na chybił trafił do jakiegoś wozu męskiego w którym odbywało się zgromadzenie ludowe złożone z mężczyzn, kobiet, dzieci, starców i wojskowych niżej kadeta. Referował tam wachmistrz od żandarmeryi, który wprawdzie był pijany, ale o katastrofie i o reformie wyborczej do Sejmu mówił dość trzeźwo. Starcy wzdychali, kobiety płakały, dzieci piszczały a wachmistrz mówił coraz głośniej, starając się wszystkich przekrzyczeć, co mu się przeważnie udawało. Gdym pomyślał, że w jednej chwili możemy się wszyscy razem dostać do nieba, płakałem także i na manszecie zacząłem spisywać testament.

Na każdej stacyi pociąg stał kwadrans, jakby się namyślał, czy warto ryzykować jeszcze jedną stacyę. Jechaliśmy przez Podwysokie, okrążając miejsce katastrofy. Zrobił to podobno wyłącznie dla mnie czcigodny maszynista, który widział mój niepokój. Zato mieliśmy drakońskiego konduktora, który na każde nasze pytanie, czy pociąg się wykolei, odpowiadał gburowato: „Ja sam nie wiem!“.

Na jakiejś stacyi miała wsiąść kompania wojska. Drakoński konduktor tylko machnął ręką, ażebyśmy się przenieśli do następnego wozu już i tak pełnego. Ponieważ każdy z nas miał kilkanaście pakunków, a trzeba było się spieszyć i uciekać przed najazdem wojskowym, przeto nasze przeniesienie podobne było do ucieczki podczas pożaru.

W tym drugim wozie położenie nasze było tak gorżkie, że wszyscy prosiliśmy już sami o jakąś katastrofę, byleby się trochę rozluźniło. Ja sam trzymałem na kolanach, prócz moich pakunków, jeszcze jednego żołnierza i dwie kobiety, z tych jedną brzemienną.

Do Lwowa przyjechaliśmy nie o godzinie 10 rano (jak jest w rozkładzie jazdy), ale o godzinie 3 popołudniu, a w tramwaju wszyscy myśleli, że byłem w katastrofie i należę do ciężko rannych i wypytywali mnie o szczegóły nieszczęścia.

Od czterech dni leżę w łóżku i odpoczywam po podróży, a najgorsze, że nawet skarbu kolejowego zaskarżyć nie mogę, bo to była zwykła podróż, a nie katastrofa.

TREŚĆ.

Z pamiętnika pchły I—III 4
Goście z prowincyi
Goście 11
Ciotka jedzie .....
Pudła 18
Człowiek na raty 21
Moje mieszkanie 23
Na przystanku 26
Życiorys, jakich wiele 29
Józek
Józek rezydentem 35
Zaręczyny Józka 39
Mój lokator 43
Józek, czy ja? 46
Sen mojej żony 49
Mała kamienica 52
Nu? 55
Straszny pożar 8
Po wiecu kobiet 61
Wiec mężczyzn 64
Dobrodziejka 67
Lekcya tańców 70
Koleżanki 73
Specyalista od wierzycieli 76
Jeden dzień profesora 79
W hotelu »Pod rybą« 82
Ostatnie dni słomianego wdowca 88
W teatrze 91
Magda 97
Magda ekspedyuje pocztę 100
Magda jedzie do parku 104
Waryatka 107
Jeden dzień złotego Lola 111
Bolek I—IV 117
Pan radca opowiada 130
O informacyę 133
Hania 139
Hania smutna 143
Hania na balu 145
Pan inspektor 148
W salonie mód 152
Dwuletnia kobieta 155
Człowiek z sekretem 158
Tramwaj konny 161
Dorożka 164
Listy reportera I—VII 169

KLEWE:	Lwowskie Perły	K. 3·—
—	Wesołe Kroniki	K. 3·—

Księgarnia
Feliksa Westa w Brodach
POLECA:

Baumfeld Gustaw, **Mieczysław Romanowski**, studjum ideowe cena K 1·20

Epos babilońskie K. 1·20

— egipskie K. 1·20

— indyjskie Ramayana K. 2·40

Flach Dr Józef, **Byron**, Życie i dzieła K 2·—

— **Stanisław Wyspiański**, Studyum K 2·—

Hahn Dr W., **Szkice literackie o Juliuszu Słowackim** cena egz. K 2·60

— **Juliusz Słowacki.** Odczyt wygłoszony w Kole literacko-artystycznem 3/IV. 1909 we Lwowie cena egz. 30 hal.

— **O życiu i dziełach Juliusza Słowackiego** — objętość książki $7^1/_2$ ark. druku w tekście 10 illustr. cena egz. K —·60 na papierze welinowym K —·80

T. B. Ks. **Listy do przyjaciół**, o życiu młodzieży szczególniej akademickiej cena egz. K 3·—

Wróblewski K. **Zasady piękna w sztuce.** Dzieło to bogato illustrowane, obejmuje architekturę, rzeźbę i malarstwo cena egz. K 5·—

Szyndler Fr. **Powiastki ojczyste** dla młodzieży polskiej, każdy tomik stanowi dla siebie całość i można osobno nabyć po K —·80

Dotychczas wyszło 6 tomików.

Arcydzieła polskich i obcych pisarzy

dotychczas wyszło 71 tomików, cena za tomik pojed. K —·60 podw. K 1·—

Dokładny spis dotychczas wydanych tomików „Arcydzieł“ jak niemniej wydawnictw innych wysyła księgarnia na żądanie bezpłatnie.

Niektóre wydawnictwa księgarni Feliksa Westa w Brodach.

Dr. PIOTR CHMIELOWSKI.

JAN KASPROWICZ

próba charakterystyki z portretem poety.

Cena K 1·20 w oprawie K 2·—

Na podstawie analizy treści dochodzi autor do tego słusznego wniosku, że Kasprowicz jest jednym z najwymowniejszych poetów bólu nietylko u nas, ale w literaturze powszechnej i że w stopniowym rozwoju swych uczuć i swej twórczości coraz to szersze obejmował kręgi — od małych obszarów, malujących niedolę ludu wiejskiego, aż do potężnych symfonij, w których jęczy ból ogólno-ludzki, płynący z najtajniejszych źródeł życia.

„Książka“ (Ig. Chrzanowski).

BOLESŁAW I JÓZEFA ANC.

Z LAT NADZIEI I WALKI

Wspomnienia z roku 1863/4.

Książka ozdobiona wieloma portretami cena K 3·—

Pamiętniki te z krwawej epoki ostatniego powstania naszego mają wielką zasługę przedewszystkiem dlatego, że z nich tryska prawda i widoczne staranie uniknienia przesady w jakimkolwiek bądź kierunku.

Opisy wypadków są niby luźne, a jednak bardzo dobrze się łączą w jeden obraz, dający obecnemu pokoleniu prawdziwy pogląd na przebieg najważniejszych wypadków, których autor był świadkiem.

Drugą część książki stanowią wspomnienia lat dziecinnych p. Józefy z Zagórowskich Ancowej. W tych pięciu końcowych rozdziałach czuć gorącą duszę naszych Polek, które dla ojczystej sprawy gotowe poświęcić wszystko, nawet życie swoje i życie najdroższych im osób.

Słowo polskie (Dr J. Stella-Sawicki).

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nakładem Księgarni

Feliksa Westa w Brodach

wychodzi serya pod tytułem

„EPOS"

Najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów

pod kierownictwem

Antoniego Langego.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom I. **Epos babilońskie.** Enuma Elisz.

Tom II. **Epos egipskie.** Klechdy - Romanzero - Pentaur.

Tom. III. **Epos indyjskie.** Część I. Ramayana.

W DRUKU:

Tom IV. Część II. Mahabharata.